

BENO SHRAYER

BYŁY LATA

WSPOMNIENIA - LUDZIE I WYDARZENIA

SPIS TREŚCI

1.	Słowo wstępne.....	3
2.	Drohobycz do 1939-go Roku.....	4
3.	Napaść Niemców na Polskę - Klęska Wrześniowa - 1939-y Rok.....	47
4.	Inwazja Sowiecka - lata 1939 -1941.....	50
5.	Wojna Sowiecko - Niemiecka - 1941-y Rok- Ewakuacja.....	66
6.	Kierunek Stalingrad - Spotkanie na Wołdze.....	77
7.	Kirgizja - Kołchoz - Be.Cze.Ka. - Wojsko (I).....	81
8.	Uzbekistan - Wojsko (II) - Front - Szpital - Koniec z wojskiem.....	88
9.	Taszkient - Nowosybirsk.....	98
10.	Znowu eszałon - Repatriacja - Polska.....	104
11.	Emigracja - Izrael.....	132
12.	Postowie.....	156
13.	Indeks "Przezvisk" - Drohobycz - Uzupełnienie.....	159

SŁOWO WSTĘPNE

Zapisy te nie stanowią żadnej kroniki i nie są oparte na kiedykolwiek prowadzonych notatkach. lecz tylko i wyłącznie na podstawie własnej pamięci. Każdy kto ewentualnie będzie je czytał na pewno znajdzie nieścisłości, za co z góry proszę o wybaczenie.

Do pisania trzeba mieć i talent i tzw. iskrę bożą. Powiadają, że w jakimś sensie są to rzeczy oddziedziczone, zapisane ponoć w genach. W moim konkretnym przypadku to z pewnością nie ma zastosowania.

Ojciec mój urodzony w ubiegłym stuleciu (XIX wiek) nie władał chyba żadnym "chodliwym" językiem oprócz żydowskiego (jidisz).

Matka moja może bardziej w tym kierunku ujawniała zdolności, skutkiem tego jest chociażby to, że uczyła się i zdobyła dyplom dyplomowanej położnej [akuszerki], status społeczny w owym czasie uznawany i szanowany.

Na samym wstępie chciałbym się zastrzec, że nie mam żadnych aspiracji pisarskich. Bodźcem dla tych zapisów było to, że jako emeryt, w wiek 71 lat, musiałem się czymś zająć po przeszło 50-ciu latach aktywnego życia zawodowego. Ponadto, chciałem spełnić w prawdzie z dużym opóźnieniem obietnicę daną swoim dzieciom i wnukom, że kiedyś opowiem im o swoim życiu, dla nich zupełnie nie typowym.

Nie jeden może i będzie się dziwił, nawet ja samemu sobie, jak taki mały "szkrab" mógł stosunkowo tyle wiedzieć o sprawach starszych, o tym co się działo w owych przedwojennych czasach. Być może, że miałem jak na swój wiek - ostry wzrok, wyczulone ucho i chłonną pamięć. Czy ja wiem ? Pojęcia nie mam.

Każdemu emerytowi, mniej lub więcej wykształconemu, może się wydawać, że mógłby spisać swoje dzieje i że ludzie chętnie je będą czytali. Osobiście daleki jestem od tego rodzaju iluzji i zdaję sobie sprawę, że to co ewntualnie napiszę interesować może tylko i wyłącznie moją własną rodzinę - syna, córkę, ich kuzynostwo, a może też, czego wcale nie jestem pewien - ich dzieci, jeżeli oni im kiedyś zechcą opowiedzieć w dla nich zrozumiałym języku.

Urodziłem się 1924-ym roku w Małopolsce wschodniej, która do 1917-go roku była częścią Imperium Austro-Węgierskiego a później stanowiła część tzw. Kresów Wschodnich z mieszaną ludnością polską-ukraińską-żydowską, aż do września 1939-go roku kiedy to Sowieci z Niemcami tę Polskę zamordowali i rozparcelowali.

To nasze miasto Drohobycz, część Podkarpacia liczyło około 37 tysięcy mieszkańców: Polaków, Ukraińców i Żydów. W odróżnieniu od innych części Polski w tym okresie, nasz rejon był uznawany jako część Zagłębia Naftowego z uwagi na ropę naftową w przyległym Borysławiu, Uryczu i Schodnicy (8 do 15 kilometrów) oraz instalacji destylacyjnych w postaci Rafinerii Naftowych - Polmin, Dros, Nafta. Zakłady te dawały zatrudnienie przeszło tysiącom pracowników co stwarzało stosunkowo przyzwoitą egzystencję kilkutysięcznej masie członków rodzin jak również utrzymanie dla zatrudnionych w sieci usługowej. Można więc stwierdzić, że z punktu widzenia socjo-ekonomicznego sytuacja materialna mieszkańców tego rejonu była nieco lepsza od innych, podobnych rejonów. Faktem jest, że ludzie bezpośrednio zatrudnieni w tej gałęzi przemysłu zaliczani byli do niepisanej elity społecznej. Należałoby również podkreślić, że nie wszystkie wspomniane rafinerie były dostępne dla wszystkich odłamów ludności. Dla przykładu, Polmin był "off-limits" dla nierdzennych Polaków (nie licząc jedyne go Żyda - szklarza. Dlaczego?).

Miasto posiadało burmistrza Polaka, Rajmunda Jarosza i vice-burmistrza Dr. Tenenbauma. W mieście stacjonowała jednostka 6-go pułku piechoty Strzelców Podhalańskich. W barwnych kapeluszach z piórem, ładnie się prezentujących podczas defilad w czasie świąt narodowych (11-ty Listopada, 3-go Maja). Na przeciwko koszar był szpital powiatowy, zaś dalej, w kierunku Truskawca na tzw. Górcie, zakład karny (więzienie) o ogólnie polskim znaczeniu w którym odsiadywali wieloletnie kary więzienia zarówno więźniowie pospoliccy jak też i wielu więźniów politycznych, w tym też niektórzy z późniejszych powojennych prominentów P.R.L.-u. Był również sąd i więzienie śledcze przy ulicy Stryjskiej sąsiadujący z ukraińskim klasztorem i cerkwią Bazylianów. Tenże sąd i więzienie służyły po 39-ym roku za siedzibę sowieckiego N.K.W.D. Dowojenną siedzibą Policji Państwowej (P.P.) były tzw. Hale Targowe przy ul. Piłsudskiego róg Kraszewskiego i później Sienkiewicza. Ciekawostką jest, że w wydziale politycznym P.P. pracował jedyny Żyd, F. znany poniekąd z nadmiernej gorliwości i nie cieszący się zbytnim mirem wśród społeczności żydowskiej. Należy podkreślić, że policja jako taka nie budziła specjalnego strachu wśród ludności cywilnej, w porównaniu z analogiczną instytucją okresu powojennego. W sprawach politycznych wyroki ferował na ogół Sąd Okręgowy w Samborze. Procedury sądowe i reżymy więzienne były stosunkowo liberalne. Czasami jedzenie można było donosić z zewnątrz; widzenia post-sądowe bywały stosunkowo częste. Słowo i postawa obrońców sądowych miały swoją wagę w postępowaniu sądowym. Dobry adwokat, a do takich zaliczał się Dr. Zajac były legionista i piłsudczyk, mógł wiele zdziałać w porównaniu z zerowym znaczeniem w okresie powojennym.

Ciekawostką lat trzydziestych był szumny romans księcia Radziwiła z drohobycką pięknoscią, Żydówką, z tzw. dobrego żydowskiego domu, Żanną Suchestow. Całe miasto szumiało. Opinie były niejednoznaczne. Czym się to skończyło? Nie pamiętam.

Jednym słowem jakoś się żyło w tym czasie. Czy była nędza i czy byli ludzie cierpiący głód? Owszem, byli, szczególnie w dzielnicach czysto żydowskich. Byli ludzie bardzo bogaci i bardzo biedni, dla których chleb powszedni i związanie końca z końcem stanowiły czasem problem nie do przebycia. Procentowo biorąc, do bogatych zaliczyłbym około 10 procent, do tzw. klasy średniej około 30 procent. Reszta to biedota.

Chleba wtedy nikt nie wyrzucał, tak jak to ma miejsce w dzisiejszym Izraelu. Wtedy, chleb w biednych rodzinach kupowało się nie świeży tylko czerstwy, bo taki kosztował o połowę taniej i jadło się go trudniej, a więc i na dłużej starczał. Masło, jeżeli go się już kupowało, to na dekagramy; używano raczej margarynę bo również i ją się trudniej jadło, a była ona nie taka jak dzisiaj i kosztowała o wiele taniej; cukier używano raczej kostkowy, bo można go było dzielić na dwie albo trzy części, i tak dalej i temu podobnie.

Jakie to były czasy i jak nam się żyło, zacznę od naszej rodziny. Nasza rodzina składała się z ośmiu osób: ojciec, matka, dwie siostry i czterech braci.

Ojciec przepracował 30-ci lat w rozlewni piwa jako rozwoziciel - dostawca do różnych odbiorców w tym wielu szynków (odpowiednik dzisiejszych barów). Jego partnerem był ukraiński chłop, Michajło, powożący konnym wehikułem. Pieniądze inkasował ojciec i każdy wieczór rozliczał się w kasie tzw. "propynacji". Często zdarzały się fałszywe monety, które słaby wzrok ojca nie zawsze potrafił rozróżnić.

W 35-ym albo 36-ym roku, dokładnie nie pamiętam, właściciele zlikwidowali przedsiębiorstwo i ojciec znalazł się na bruku, bez jednego grosza oszkodowania.

Cały ciężar utrzymania rodziny spadł na barki matki akuszerki. Nastąpiły ciężkie czasy, co również rzutowało na współżycie rodzinne. Częste kłótnie i niesnaski weszły do stałego rytuału. Opłacenie czynszu za mieszkanie i utrzymanie jakiegoś takiego standartu codziennego życia stawało się coraz trudniejsze. Odczuwało się to na każdym kroku, zarówno pod względem zakupów produktów żywnościowych jak też i ubiorów. Kredyty w sklepach na ogół się skończyły i płacić trzeba było gotówką której nie zawsze starczało. Największe trudności sprawiały kwartalne opłaty za czynsz. Właściciele domu nie okazywali żadnych sentymentów. To, że przez wszystkie lata płacono punktualnie i bez problemów - nie było brane pod uwagę. Ażeby sobie trochę ulżyć, rodzice postanowili jeden z pokoi, ten największy, z oddzielnym wejściem od sieni wynajmować sublokatorowi.

Najstarszym z dzieci w rodzinie była siostra Fanka (1906). Kiedyś w pierwszej młodości cieszyła się powodzeniem u rówieśników płci odmiennej. Wydawało się, że z zamążpójściem specjalnych problemów nie powinno być. Jak się jednak później okazało, problemy były i to nie małe. Rój poprzednich zalotników gdzieś się zapodział i widmo staropanieństwa zaczęło urastać do niebotycznych rozmiarów. Od czasu do czasu przychodzili swaci i ich pierwszym pytaniem było czy jest posag, jaki i ile, a tego prawie, że nie było. Co zamożniejsi "kupowali" swoim córkom narzeczonych; myśmy do tej kategorii nie należeli. Zaczęło się siedzenie w domu, nie wychodzenie i towarzyszące temu zgryźliwości i niesnaski wewnątrz rodzinne. Nasza mama się po prostu zagryzała.

W końcu znalazł się jakiś kandydat, współwłaściciel sklepu rzeźniczego w letniskowej, karpackiej miejscowości, Skole. Odbył się ślub i od razu po tym siostra wyjechała do Skolego. Niedługo po tym urodziła się córeczka, Sylwia, i tak to nowe stadło sobie pożywało. Szczęśliwie czy nie, trudno powiedzieć. Myśmy byli daleko i tylko od czasu do czasu ktoś ją odwiedzał. Na ile mnie pamięć nie myli, ani ojciec ani też matka nigdy u niej nie byli. Hitlerowska okupacja wszystkie trzy życia zabrała. Nigdy po wojnie żadnych szczegółów o ich zagładzie nie zdołałem się dowiedzieć.

Drugim w rodzinie, według wieku, był brat Szłomku, (1908). Wyuczył się zawodu technika dentyścycznego. Pod tym względem bardzo był wzięty, zaliczał się do najlepszych w mieście techników. Usamodzielił się, wyprowadził się z domu do wynajętej kawalerki i tam nielegalnie przyjmował pacjentów których zawsze miał wielu. Ta "nielegalność" i strach przed władzami skarbowymi okropnie mu szarpały nerwy. Innego wyjścia jednak nie było. I tak trwało do wybuchu wojny w 1939-ym roku.

Powodziło mu się niezłe, zarabiał dobrze, ładnie się ubierał i stać go było na różnego rodzaju ekstrawagancje. Przed wojną kupił motocykl, nowiuteńki, błyszczący. Wszyscy mu zazdrościli. Pewnego razu przyjechała para znajomych z Żywca, na starym motorku. Pojechali - ta para i mój brat - na Pomiarki i do Truskawca. W drodze powrotnej ona koniecznie chciała się przesiąść na motor brata. Gdzieś w połowie drogi, nie wiem dokładnie na skutek czego, stracił panowanie nad kierownicą, obojga wyrzuciło z siodła, ona spadła na kamień i zabiła się na miejscu, on sobie połamał kilka żeber, wybił zęby. Prowadził śledztwo brata komisarz policji który robił sobie u niego zęby. Obiecał umorzenie sprawy, za co brat mu ten motor sprzedał za symboliczną sumę, a może i podarował. Nie wiem. Czy Szłomku pomagał rodzicom ? Trudno

mi powiedzieć. Raczej nie za bardzo albo wogóle. Oprócz ubrań które mu się znudziły i oddawał je ojcu.

Miewał różne romanse; kobiety się truły z jego powodu, nie bardzo zresztą skutecznie. Raz nawet on sam próbował z powodu kobiety zamężnej, matki dwóch córek - również bez skutku.

W końcu jak gdyby się ustatkował, ożenił się (ślub sądowy, rzadkość jak na owe czasy), urodziła się córka. I tak to trwało do wybuchu wojny sowiecko - niemieckiej w czerwcu 1941-ego roku.

Trzecim z kolei był brat Fredek (1910). Początki jego drogi życiowej były mniej skomplikowane. Wyuczył się fryzjerstwa, pracował u różnych właścicieli tego rodzaju zakładów, z domu się nie wyprowadzał, bardzo oszczędny i racjonalny. Poznał dziewczynę, bardzo ładną, subiektkę w sklepie z przyborami krawieckimi, złą, z imperatywnym charakterem.

Przed 39-ym rokiem wyjechali do Krakowa gdzie oboje pracowali aż do 39-go roku. Po zajęciu Krakowa przez Niemców wrócili do Drohobycza i zamieszkali u nas, w tym naszym trzecim pokoju. W rodzinie Fredek uważany był za pantoflarza, co było absolutnie zgodne z prawdą. Robił to nie z przymusu tylko z miłości. Żonę swoją bardzo kochał. Mieli dwoje dzieci. Jego zmobilizowali do wojska w 41-ym roku. Ją z dziećmi pochłonął Holocaust.

Czwartym z kolei był brat Szymon (1914). On to był jakiś inny od dwóch poprzednich. Z pewną dozą, na niczym nie opartą, wrodzoną inteligencją. Dużo czytający, ze znacznie większym rozeznaniami politycznym, z bardzo niskim poczuciem pragmatyzmu i podejściem do spraw codziennych, bytowych.

Wszelkie próby nabycia, wyuczenia się jakiegoś konkretnego zawodu spełzały na niczym. Jakiś czas, na skutek rodzinnych koneksji udało się go ulokować w Uryczu na szybach naftowych należących do spółki Gartenberg-Schreier.

Praca fizyczna, niezwykle ciężka, za niewspółmiernie niską opłatą. Podobno miał żytkę do handlu i dlatego najmowano go w poniedziałkowe (tylko) dni targowe jako sprzedawcę materiałów tekstylnych. Kupującymi byli głównie chłopci z okolicznych wsi przyjeżdżający na jarmarki. Ich on umiał ująć, do nich przemawiać i wmówić im kupno. Właściciele straganów bardzo cenili jego w tym względzie zdolności.

Przez jakiś czas pracował w ramach pracy dla bezrobotnych przy budowie dróg publicznych, za niewielką opłatą plus kartki chlebowe i niektóre produkty żywnościowe dawane bezrobotnym.

Co go dewastowało, to chorobliwy pociąg do kart. Zazwyczaj od razu po zainkasowaniu wypłaty spieszył do swego klubu karcianego i po całonocnej grze, nad ranem wracał do domu ogołocony jak święty turecki, bez grosza. Nie mogę sobie przypomnieć ażeby kiedykolwiek był wygrany. Co jest ciekawe, że między jego bliskimi kolegami, na ogół nie grającymi, bardzo był lubiany. To była choroba z której nijak się nie mógł wyleczyć; jak narkoman. To właśnie, ten jego nałóg, był przyczyną negatywnego do niego stosunku ze strony całej rodziny. Na tym tle nie raz dochodziło do gwałtownych kłótni i nawet więcej.

Tak to trwało do 1939-go roku, aż do aneksji naszych terenów przez Sowietów.

Wtedy, jak gdyby się kompletnie odmienił. Zaczął pracować w upaństwowionym handlu, przyzwoicie zarabiać, różnymi sposobami właściwymi tylko dla sowieckiego systemu handlowego.

Co trzeba przyznać, że gdyby nie on, to w latach 39-41 umarlibyśmy chyba z głodu.

Ożenił się z bardzo przyzwoitą dziewczyną, z dobrego domu. Zaczął żyć zupełnie innym jak dotąd życiem. Z chwilą wybuchu wojny w 1941-ym roku został zmobilizowany. Z wojskiem poszedł na wschód i po wkroczeniu Niemców wrócił do Drohobycza, do swojej żony. Z relacji ludzi wiem, że na drugi czy trzeci dzień, jakiś Ukraińiec na ulicy wskazał na niego Niemcowi; został aresztowany i od razu zastrzelony na Górcie. Żona jego zginęła w Holocaustcie.

Piątą z kolei była siostra, Henia (1919). Skończyła szkołę powszechną bez dalszych widoków na jakiegokolwiek dalsze wykształcenie. Rodziców naszych nie było na to stać.

Próbowała imać się różnych zawodów. Pracowała jako maszynistka u wydawcy miejscowego dwutygodnika "Przegląd Podkarpacia", a nieco później jako pomoc biurowa u brata naszego ojca, adwokata, specjalisty od spraw naftowych. Miał on piękną żonę i właśnie ona bardzo się nią zajęła i pomagała. Na powodzenie u rówieśników nie mogła narzekać. Dużo czytała, interesowała się polityką, i to do takiego stopnia, że nawet została aresztowana, przesiedziała kilka tygodni i później zwolniona jako nieletnia. W 39-ym roku, już za Sowietów wyszła za mąż i zamieszkała ze swoim mężem.

Naszej mamie ten nowy zięć nie bardzo chyba przypadł do gustu. Miłość, podobnie do Temidy też musi być ślepa, a perswazje rodziców, szczególnie w takim tzw. cielejącym wieku, do rozumu nie trafiają. Na ile nasza mama miała rację, to ona sama, dzisiaj z perspektywy czasu i gorzkich doświadczeń - dobrze wie. Zawsze była troskliwą, oddaną córką, jakkolwiek mamę nie zawsze słuchała. A Mamy, te kochane Mamy, na ogół zawsze mają rację. Dzisiaj (1996) Henia mieszka w U.S.A., ma dwóch synów i sama musi się borykać ze swoim niełatwym życiem.

Szóstym z kolei byłem ja, Beno, (1924), "mezynek" albo "wyszkrobek". Co już częściowo zostało powiedziane na wstępie, będzie rozwinięte na dalszych stronach tych zapisów.

Mama - nasza Mama była zawsze dominującą postacią w naszej rodzinie; jak gdyby "głównodowodzącą". O wszystkim ona decydowała i wszystko co wyżej zostało opisane, w równej mierze, a nawet dużo więcej odnosi się do naszej Mamy. Daty jej urodzenia nigdy nie znałem. W każdym razie musiała to być druga połowa XIX-ego wieku. Od mojej siostry Heni, dowiedziałem się, że urodziła mnie mając 47 lat. Podobno, oprócz nas - sześcioro dzieci - było jeszcze dwoje, dwie córki, które zmarły we wczesnym dzieciństwie,, jeszcze przed urodzeniem najstarszej siostry Fanki.

Trochę szerzej chciałbym opisać otoczenie w którym się chowałem, stosunków społecznych, sąsiadów, perspektyw - bo właśnie to na pewno będzie ciekawić moje dzieci.

Nasz dom, a właściwie dwa równoległe, parterowe zabudowania z wewnętrznym podwórzem zamkniętym z jednej strony tylnym, ślepy murem kamienicy z elewacją frontową od pryncypialnej ulicy Piłsudskiego i z drugiej strony wewnętrznym podwórkiem kamienicy Nappego z oknami wychodzącymi na to podwórko.

W naszych domach nie było kanalizacji, bieżącej wody, elektryczności (oprócz jednego mieszkania głównej właścicielki). Ubikacje (tzw. klozety) mieściły się w drewnianych przybudówkach przyległych do ślepego muru kamienicy. Było tego cztery "oczka", otwarte, nie zamykane, z których miało korzystać około 60 dusz dorosłych i dzieci. Bardzo niewygodne, a szczególnie nie do ścierpienia w zimie kiedy wszystko zamarzało. Tam też mieściła się skrzynia na śmiecie od czasu do czasu wywożone. Raj dla szczurów, piekło dla ludzi. Istniejąca od lat studnia głębinowa była nieczynna i wodę trzeba było nosić wiadrami z ulicznej pompy niedawno założonej, publicznej sieci wodociągowej po drugiej stronie ulicy Sobieskiego.

Mieszkania w tym tzw. naszym kompleksie, a było ich w sumie dwanaście należały do rodziny Ratzów.

Nasze mieszkanie liczyło się jako dwa pokoje z kuchnią z tym, że kuchnia wydzielona była drewnianym przepierzeniem z jednego z pokoi.

W naszej wspólnej sieni, na noc nie zamykanej, jedna z rodzin Ratzów zajmowała pokój z kuchnią. Mieszkał tam jeden z patriarchów tej rodziny, pobożny Żyd z brodą i pejsami. Miał córkę i syna kalekę (o kulach). Dwaj inni synowie, prosperujący kupcy, mieli swoje rodziny poza domem. Czwarty syn, również brodaty i pejsaty zajmował kuchnię w tymże mieszkaniu wraz z żoną i dzieckiem; w rodzinie uważany był za "wyrodka". Permanentnie pokłóceni, nigdy ze sobą nie rozmawiali. Czym właściwie zajmował się i z czego żył "patriarcha" tej części rodziny Ratzów - nigdy się nie dowiedziałem. Tyle tylko wiem, że większość swego czasu spędzał w bóżnicy.

Ten syn, "wyrodek" skupował stare worki, naprawiał je i odsprzedawał różnym kupcom zbożowym. Mieli oni synka, anemicznego, rozpuszczonego do niemożliwości, dającego się porządnie we znaki obojgu rodzicom.

Ten czwarty syn, kaleka, miał stragan z owocami; czasem w piątki sprzedawał rybę na "szabas". Córka nie pracowała; ze skłonnościami do staropanieństwa i sympatiami prolewicowymi. Stary ojciec zmarł jeszcze przed wojną, na uremię albo na prostatę (w tym czasie chyba nie bardzo wiadano co to jest). Całą tę rodzinę co do jednego, pochłonęła okupacja hitlerowska.

W tejże sieni, na poddaszu w jednym małym pokoiku mieszkał stary "mełamed", nauczyciel dzieci w religijnej szkole "Talmud Tora", z żoną i z synem z dwojgiem dzieci, chłopców, w moim wieku. Matka ich opuściła i zamieszkała z innym mężczyzną. Cała rodzina, oprócz jednego z chłopców, zginęła w czasie okupacji.

W drugiej sieni tego samego domu, w mieszkaniu podobnym do naszego mieszkała rodzina Kornblitów. Ojciec z matką, dwoma synami i córkami. W tym samym kompleksie podwórzowym ta rodzina zaliczała się do zamożnych. Ojciec i syn byli muzykantami, drugi syn ten starszy był buchalterem, jedna z córek była urzędniczką, co w owym czasie wysoko się ceniło w społeczności żydowskiej, druga córka pomagała matce w prowadzeniu domu, najstarsza córka wyszła udanie za mąż i mieszkała w Samborze. Rodzina ta uważała się za coś lepszego i z rezerwą odnosiła się do reszty podwórzowej społeczności. Syn Menio, całymi dniami ćwiczył na skrzypcach wygrywając piękne melodie. Ojciec, jak sądzę zaliczał się do bezrobotnych muzykantów. Kiedyś udzielał prywatnych lekcji gry na skrzypcach i jednym z jego uczniów podobno był późniejszy generał Wojska Polskiego - Tokarzewski. Menia, w 60-ych latach spotkałem kiedyś w Newburgu (Stan N.Y.). Później przeniósł się na Florydę. Cała rodzina, oprócz Menia, zginęła w czasie okupacji.

W tej samej sieni mieszkała rodzina Fastman (Eidelsheim), ciocia Henia z głuchą matką starszką i córką Dorką, kasjerką w Propynacji gdzie kiedyś pracował mój ojciec. Ciocia Henia miała też dwóch synów stale zamieszkałych we Wiedniu. Oni byli z nami spokrewnieni ze strony ojca (dlatego do niej zwracałem się per "ciociu"). Dorka wyszła za mąż za adwokata z Turki i tam też później zamieszkiwała. Starszka babcia umarła jeszcze do wojny. Reszta tej rodziny, oprócz tych we Wiedniu, zginęła w czasie okupacji.

Na poddaszu w tejże sieni mieszkała rodzina Fenersteinów - matka z dwiema córkami i wnuczką, Malką. Jedna z córek pracowała w rafinerii Galicja, wyszła za mąż za współpracownika tejże Galicji, który u nich zamieszkiwał. Jak oni się mogli zmieścić w tej ciupeńskiej komnatce ? On i ta wnuczka Malka przeżyli wojnę. Reszta zginęła w czasie okupacji. (Za Sowietów Malka skończyła kursy maszynistów kolejowych i prowadziła lomokotywę).

Cały ten nasz, nazwijmy to blok, posiadał w tej sieni wspólną piwnicę, w której trzymano masło, kwaśne mleko i inne produkty. Wiosną i jesienią piwnicę zatapiało podnoszącymi się wodami gruntowymi. Wspólny był również strych do suszenia bielizny.

Noszeniem wody i paleniem pod kuchnią w sobotę i w święta zajmował się stary chłop z poddrohobyckiej wsi, Petrusz. W czasie I-ej wojny światowej służył w cesarsko-królewskiej armii i dotąd nosił ten swój malowniczy surdut wraz z pasterskim kapeluszem; stale pykał ten swój cybuch (fajkę) upychany niewiadomo czym. Szczególnie gorliwie usługiwał ciocię Henię i starszkę babcie; one go też stale podkarmiły.

W tym samym domu tylko dwa mieszkania - nasze i Kornblitów posiadały tzw. spiżarki. W naszej spiżarce Fredek urządził gołębnik, pomagał mu w tym wydatnie nasz ojciec, bo nic lepszego do roboty oprócz bóżnicy i czytania gazetowych seriali w żydowskiej gazecie, nie miał. Drugi blok, ten frontowy od ulicy Sobieskiego w tym naszym kompleksie tylko nieznacznie się różnił od naszego. W tym bloku była tzw. sień przejściowa łącząca podwórze z ulicą Sobieskiego. głównymi mieszkańcami w tej sieni była rodzina Ratzów: matka Dwojra i córki - Ruchcia, Hinda, Fanka i Tonka. Ojca nie było - podobno powiesił się. Z jakiego powodu ? Nigdy o tym, przynajmniej u nas w domu, nie mówiono. U nich w domu było radio (musiała więc być i elektryczność ?). Czasem niektórym dzieciom z podwórka pozwalano przyjść i posłuchać. Z tego okresu zapamiętałem audycje Lwowskiej Wesołej Fali z Tońciem i Szczepciem, Włodą Majewską, radcą Strońciem, Apikosenkrancem i Urtenbaumem i wielu innych.

Najbardziej prominentną postacią w tym domu (również i pod względem wieku była Ruchcia. Ona też spełniała funkcję administratorki obu tych naszych domów przy ulicy Sobieskiego 3. Chyba też i intelektualnie stała wyżej od innych współmieszkańców tego naszego podwórzowego kompleksu, Przecież nie od parady była tzw. mondantką (siła biurowa) Dr. Nachta. To właśnie do niej zanosilo się kwartalny czynsz za mieszkanie. Ona była tym arbitrem, alfą i omegą dla wszystkich mieszkańców naszego kompleksu. Siostry - Fanka (wpierw) i Hinda (później) wyjechały do Palestyny w 30-ych latach. W domu pozostała Tonka i Manes.

Manes chodził do Gimnazjum Państwowego, zdał maturę i nieco później wyjechał na studia do Szwajcarii. Chyba niedługo przed 39-ym rokiem Ruchcia wyszła za mąż i jej mąż wprowadził się do nich.

Wojnę przeżyli tylko Manes (w Szwajcarii) i dwie siostry - Fanka i Hinda (w Palestynie). Ruchcia, jej mąż i Tonka zginęli w czasie okupacji.

Drugą, ważną rodziną tej sieni byli Złatkisowie-Nachman, jego żona Gijcia (z Ratzów), córka Malka i syn Mendel; starszy syn z rodziną mieszkał we Lwowie. Nachman handlował zbożem i w tej sieni - przejściu miał dwie zamknięte komórki służące mu za magazyn. Malka wyszła z domu chyba bardzo wcześnie (ja ją jakoś nie pamiętam), wyjechała do Warszawy na studia i po tym do Palestyny. Mendel pracował, a może też i był współnikiem do fabryki swetrów. Poza tym zajmował się montowaniem rowerów dla różnych sklepów z artykułami sportowymi (sam też był sportowcem). Gijcia umarła na początku lat 30-ych, Mendel zaginął w czasie zawieruchy wojennej. Nachmana zabili Niemcy.

W tejże sieni, w niedużym ciemnym pomieszczeniu bez okna mieszkała Mimy Temy, podobno jakaś tam krewna Ratzów. Sprzedawała karmelki, cukierki i jeszcze coś w tym rodzaju. Czy z tego żyła? Kto to może wiedzieć? Umarła gdzieś na początku lat 30-ych.

Do tego pomieszczenia wprowadziło się bezdzietne małżeństwo. Wybito okno na podwórze. Ją nazywali "preclarką" - sprzedawała precle, chodziła z koszykiem do różnych biur gdzie miała stałych klientów. Mieszkali tam do wybuchu wojny sowiecko - niemieckiej. Zginęli w czasie okupacji.

W drugiej części tego domu sień była "ślepa", natomiast z głównego mieszkania było wyjście bezpośrednio na ulicę Sobieskiego. Główne mieszkanie w tej części zajmowali krewni rodziny Ratzów. Ona, stara babcia Chanymyndł, prawie zupełnie ślepa, ze swoim mężem piekarzem. W mieszkaniu był piec, w którym on wypiekał jakiś ekstra luksusowy chleb, dużo droższy od zwykłego i roznosił go do stałych klientów, na specjalne zamówienie. Z wyglądu chleb był rzeczywiście okazały i chyba niezwykle smaczny. Ja go nigdy nie próbowałem, bo nas nie było stać na taki luksus. Myśmy jadał chleb zwykły i do tego czerstwy, bo tańszy. Razem z nimi mieszkała ich córka z trojgiem dzieci - Izio i Nuśka (bliźnięta) oraz młodsza, Sabinka. Mąż córki, ojciec tych trojga dzieci zajmował przyległe mieszkanie, przed tym wynajmowane na lokal syjonistycznej organizacji "Haszomer Hacair". Czym się dokładnie zajmował - nie wiem. W każdym razie pozował na urzędnika (zawsze chodził z teczką). Izio, z którym się kolegowałem wraz ze swoją bliźniaczą siostrą chodzili do gimnazjum Błata (prywatne). Rodzice Izia byli bardzo niezadowoleni z naszego koleżeństwa. Może być dlatego, że nasza rodzina miała opinię "lewych". Izio był niezwykle zdolnym uczniem o szerokich, jak na swój wiek horyzontach myślowych. Oprócz tego uczył się hebrajskiego u prywatnego nauczyciela i już wtedy zdołał opanować go w stopniu konwersacji.

Na ile pamiętam, do żadnej organizacji młodzieżowej nie pozwalano mu należeć. Na początku lat 30-ych umarł dziadek i pozostała ślepa babcia. Z tego okresu przypomniało mi się następujące wydarzenie. W czasie remontu pieca u dziadka poczyniono również jakieś zmiany w kominie na dachu. Widocznie niektóre cegły w tym kominie były luźno położone, bez cementu. W pewien poniedziałkowy dzień był bardzo mocny wiatr i wytrącił jedną z cegieł. Cegła spadła jak raz na przechodzącego chłopca i ucięła mu pół podbródka. Krew mu zalewała twarz i ledwo się udało ją zatamować. Od razu zaczęły się pertraktacje i chłopca ułagodzono 2-u złotową monetą.

Wszyscy byli zadowoleni, że na tym się skończyło. Okazało się, że wcale nie. Pod koniec dnia chłop pojawił się ponownie, tym razem z "doradcami", i zażądał dodatkowo 20-cia złotych, i jeżeli ich nie dostanie to pójdzie na policję i wtedy ich to będzie jeszcze drożej kosztowało. Po długich targach wreszcie zgodził się na 10-ć złotych. I tak się ta sprawa zakończyła, również ku obopólnemu zadowoleniu. Jednak, wcale nie drogie były te chłopskie podbródki. Przy tym wszystkim gospodarze mieli szczęście, że nie przytrafiło się to jakiemuś miejscowemu człowiekowi. Bo wtedy to by ich kosztowało dużo, dużo więcej.

Wojnę przeżył jeden tylko Izio. Reszta zginęła w czasie okupacji. Do Izraela Izio przyjechał jakieś 5-ć lat temu, z Koenigsberga w Prusach Wschodnich, gdzie osiedlił się po wojnie. Tam się ożenił, pracował jako nauczyciel języka niemieckiego (po co? przecież Niemców już wtedy tam nie było?). Miał swoje gospodarstwo z kawałkiem ziemi, krową i t.p. Tutaj jest emerytem, mieszka w Ber-Shevie, niedaleko swojej córki.

W tej samej sieni mieszkała rodzina Erlichów, małżeństwo z dwoma synami - Mojlechem i Aronem; obaj rudzielcy. Starszy, Mojlech, chodził do gimnazjum kupieckiego. Młodszy, Aron chodził do tej samej szkoły co ja, tylko o rok niżej. Rodzice mieli stragan na tzw. Małym Rynku z mąką, cukrem, kaszami i t.p. produktami. Mieszkanie ich składało się praktycznie z jednego pokoju przedzielonego drewnianą ścianką na kuchnię.

Pamiętam jak to pewnego razu, w ich mieszkaniu, ich wujek poderżnął sobie gardło i przeciął żyły na przegubach obu rąk. Zwieziony do szpitala, tam dokończył swoje "dzieło", zrywając sobie opatrunki. Po dwóch, albo trzech dniach ostatecznie zmarł. Powodem była ponoć zawiedziona miłość. Cóż, w owym czasie widocznie ludzie byli bardziej sentymentalni i rycerscy aniżeli dzisiaj, gdzie również zabijają, ale nie siebie, tylko tę drugą połowę.

Wojnę przeżyli obaj bracia. Rodziców Niemcy zamordowali.

W tejże części domu, tylko od strony ulicy Sobieskiego był zakład szewski miejskiego szewca. Zatrudniał on czeladnika, chłopca bujnego, skorego do gwałtowności. Raz nawet próbował zadźgać swego pryncypała; nie bardzo wiem na jakim tle, ale chyba o pieniądze chodziło. Szewca zabili Niemcy. Czeladnik przeżył wojnę i podobno mieszka w Australii i z szewca zrobił się kucharzem.

Tyle, jeżeli chodzi o ten nasz bezpośredni kompleks podwórkowy.

Na ile mnie pamięć nie zawiedzie, chciałbym nieco opisać przyległości do naszego bezpośredniego podwórza.

Zacznę od kamienicy Nappego. Mieszkali tam sami Żydzi, na ogół zamożni. Jedynym nie-Żydem był stróż który zajmował bezokienną (ślepa) służbówkę.

Od zewnętrznej strony, przy ulicy Sobieskiego były dwa pomieszczenia sklepowe. Jedno z nich służyło jako zakład fryzjerski Szapiry. W 30-tych latach pan Szapiro wygrał los na loterii państwowej, kupił sobie własny dom i tam urządził sobie swój nowy zakład fryzjerski. W drugim był sklep z artykułami sportowymi. Właścicielami tego sklepu byli dwaj bracia, Heimanowie, zamieszkujący w tejże kamienicy na ostatnim piętrze. Jeden z braci był lekkoatletą o rzeczywiście atletycznej budowie. Z naszego podwórza, w czasie deszczu zawsze mogłem obserwować jak to pan Heiman obchlapuje się wodą deszczową dla której zrobił sobie specjalny, blaszany splot. Pan Heiman był aktywnym członkiem zrzeszenia gimnastyczno - sportowego "Betar". Drugi brat się sportem nie zajmował. Jego domeną był sklep. Ojca tam nie było; była tylko matka, bardzo o tych synów dbająca.

Na pierwszym piętrze mieszkał lekarz, Dr.Susman z żoną, córką i psem, białym pudlem. Zawsze pod wieczór chodził z psem na spacer. Jaki on był lekarz, trudno mi powiedzieć. My się u niego nie leczylimy, bo na prywatnych lekarzy nas nie było stać.

Na tymże piętrze mieszkała rodzina Schwartzów - mąż z żoną, córką i synem. Pan Schwartz senior miał sklep bławatny. Syn, przed wojną wyjechał do Palestyny, osiadł w kibucu Tel Izchak, w połowie drogi z Haify do Tel-Awivu, w którym dotąd mieszka. Tyle tylko, że z Benia Schwartza przekształcił się w Barucha Szaroni.

Kamienica Nappego miała przybudówkę w której zamieszkiwał Nuty Kafejbom "funkcjonariusz" kahalny, z synem Mechlem, kawalerem. Na tymże poziomie, tylko nieco dalej mieszkał jeden z kluczników więzienia śledczego na Stryjskiej, z żoną i dziećmi. Nasza mama dawała jej czasem porady ginekologiczne, a nawet leżeli dobrze pamiętam kiedyś u niej odbierała poród. To nam dawało pewną protekcję u tego klucznika, co w tym czasie bywało nie raz potrzebne.

O pół piętra wyżej były pomieszczenia wynajmowane zazwyczaj jakimś organizacjom lub związkom. W swoim czasie był tam związek zawodowy fryzjerów i nawet pamiętam jak stamtąd organizowano i kierowano strajkiem w tej branży. Później miała tam swoje lokum młodzieżowa organizacja syjonistyczna "Hanoar Hacijoni".

W przyziemiu tej przybudówki była nieczynna piekarnia, uruchomiona z chwilą wybuchu wojny wrześniowej w 1939-ym roku. Do tego wewnętrznego podwórka często zachodziły różnego rodzaju improwizowane zespoły muzyczno-śpiewacze produkujące się "serce szczypiącymi" piosenkami. Mieszkańcy kamienicy wylegali na balkony, z życzliwością wysłuchiwali tych artystów z bożej łaski, zrzucając im drobne grosze owinięte w papierki.

Do naszego podwórza tego rodzaju "zespoły" nigdy nie zachodziły. Bo to i publiczka była inna, nieczuła na artystyczny wysiłek; no i tych groszy nie było w zbytku ażeby je wyrzucać.

Na ile mi wiadomo, z żydowskich mieszkańców kamienicy Nappego nikt nie przeżył, oprócz Benia Schwartza, o czym już wspomniałem.

Niektórzy mieszkańcy naszego podwórka mieli drewniane kmórki dla magazynowania opału na zimę. Drzewo było kupowane u chłopów w formie wiązków lub też całe, duże polana piłowane i rąbane na drobniejsze szczapki. Do tej roboty często angażowano grupy młodych ludzi, Żydów, którzy w ramach tzw. "hachszary" szykowali się do przyszłych prac fizycznych w Erec Israel. Nie rzadko byli to młodzieńcy z zasobnych, lepszych domów gdzie im niczego nie brakowało. Cóż, kiedyś taki rodzaj idealistów istniał. Dziś to się o takich tylko w książkach czyta i opiewa w młodzieżowych pieśniach.

Jak już wspomniałem, drugą część naszego podwórza zamykała ślepa ściana kamienicy. Okna i wejścia do tej kamienicy były od stronu eleganckiej ulicy Piłsudskiego. Mieszkali tam ludzie bogaci - lekarze, adwokaci i inni przedstawiciele drohobyckiego highlife'u. U wyjścia z naszego podwórza była dwuskrzydłowa, drewniana brama przez którą furmanki mogły wjeżdżać i wyjeżdżać. Brama ta graniczyła z domem rodziny Tatarskich, znanych i zajadłych nacjonalistów ukraińskich, antysemitów i antypolaków. Była tam też stale czynna kuźnia. Ktoś z rodziny trudnił się kowalstwem. Królowała w tym domu stara Tatarska. Jeden z synów był chory na gruźlicę. Stale siedział przy otwartym oknie i na ulicę wypluwał swoje płuca. Nas, dzieci, straszył; ten odcinek ulicy żeśmy szybko przebiegali. Jeden z braci, absolwent Politechniki Lwowskiej, inżynier, był później, za Sowietów wykładowcą w szkole technicznej. Zawsze w wakacje przyjeżdżał inny z braci z dziećmi, który gdzieś tam był nauczycielem w ukraińskiej szkole. U nich też miał przytułek garbus, Fedia, bardzo podobny do dzwonnika z Notre Dame, Quasimodo. Wszystkie dzieci zaczepiał i gonil za nimi. W domu Tatarskich mieszkał też ociemniały stroiciel fortepianów; zawsze oprowadzała go jakaś młoda dziewczyna. Nosił ciemne okulary; często sprawdzał czas na tym swoim zegarku z wieczkiem; nas, dzieci, ten zegarek bardzo intrygował.

Na poddaszu tego domu mieszkała żydowska rodzina Liberswert - matka, bez męża, z córką i kilkoma synami. Jeden z nich był przysięgłym kolegą mego brata, Szymona. Lewicował, miał bardzo dobry głos i może dlatego z lewicowości przeszedł na pomocnika kantora w bóżnicy. Najstarszy z tych braci miał zacięcie artystyczne - malarskie. W jednej z książek znalazłem, że Bruno Schulz dał mu list polecający do jednego ze swoich znajomych w Paryżu. Liberswertowa miała kiedyś wóz - kram ze słodyczami na Głównym Rynku. Wojnę przeżyła tylko córka. Losy pozostałych nie są mi znane. Najprawdopodobniej zginęli w czasie okupacji.

W przedłużeniu naszej strony ulicy Sobieskiego była nieduża kamienica, przylegająca do kamienicy Nappego. Był to skład siana i owsa należący do rodziny Morgensternów. Pracowali w nim ojciec i syn. Matka prowadziła gospodarstwo w mieszkaniu, w głębi ich podwórka. Po siano i owies zajeżdżali właściciele dorożek - fiaków i różnego rodzaju furmani ze swoimi konnymi powozami. Morgernsternowie należeli do zasobnych, powodziło im się dobrze. O synie opowiadano, że był chory na płuca i że podobno leczył się psim smalcem.

Pewnego razu, gdy obaj mężczyźni byli zajęci w sklepie i matka była sama w domu, wkradli się bandyci, zakneblowali usta Morgensternowej mokrą bielizną i zaczęli penetrować mieszkanie w poszukiwaniu gotówki i kosztowności. Jak to się skończyło, dokładnie nie wiem, prawdopodobnie udało jej się wypluć knebel, narobić krzyku i niedoszli rabusie uciekli w popłochu. Trzeba wiedzieć, że w owym czasie ofiar napadów na ogół nie mordowano, tak jak to się dzisiaj dzieje. Na ile się nie mylę, cała ta rodzina wojny nie przeżyła.

W przedłużeniu do posesji Morgennsternów był skład starego żelastwa (szmelcu), szmat, tłuczonego szkła i innego rodzaju "dóbr" dzisiaj nazywanych surowcem wtórnym. Właścicielami byli ojciec (ortodoksyjny Żyd z brodą) i syn - Wagschalowie. W odróżnieniu od ojca, syn był modnisiem w nowoczesnym "borsalino" (kapeluszem) i na miarę uszytym garniturze. Mieli oni swoich stałych dostawców dostarczających im ten towar furmankami z miasta i ze wsi. My, dzieci, też czasem zbieraliśmy tego rodzaju złom, chcąc za niego uzyskać parę groszy. Zazwyczaj kończyło się to w ten sposób, że jeden z właścicieli brał tę naszą z trudem zebraną zawartość i nie ważąc wysypywał ją brutalnie na ogólną kupę z krzykiem: "wynoście się pókim dobry; to jest u mnie kradzione !". Co myśmy w naszych dziecięcych duszach czuli do tych dwóch wstrętnych kapitalistów - wyzyskiwaczy nie trudno sobie wyobrazić. Mogę tylko dodać, że gdyby te nasze niewypowiedziane życzenia pod ich adresem miały jakąś moc, to obaj ci wstrętnei eksploatorzy powinni byli trupem paść na naszych oczach.

Oдноśnie młodszego Wagschala przypomina mi się nieszczęście jakie go spotkało w 39-ym roku w czasie krótkiego pobytu Niemców w naszym mieście. Otóż do jego prywatnego mieszkania przy ulicy Piłsudskiego weszło kilku niemieckich żołnierzy i bestialskim, grupowym gwałtem sponiewierali biedną panią Wagschalową. Jej męża wtedy nie było w domu, bo dla niego byłoby się to skończyło pewną śmiercią. Po tym wypadku moja mama do niej przychodziła jako akuszerka ażeby jej ginekologicznie pomóc i ulżyć, na tyle na ile to było możliwe. Cała ta rodzina zginęła w czasie okupacji.

W przyległym do składu starego żelastwa był dom z podłogą w sieni z ubitej gliny. Dach był dziurawy i w nocy widać było przez niego gwiazdy i księżyc. Co się działo gdy padał deszcz, jest nie do opisania. Mieszkała tam rodzina; ją zwali Majymetł, jej męża Iciały Tachrijchymyszado, przezwisko pochodziło stąd, że szył on pośmiertne, rytualne szaty w których Żydów grzebano. Zawsze się chwalił, że jeszcze nigdy żaden z jego klientów nie zgłaszał żadnych reklamacji czy też skarg. Nosił melonik pamiętający czasy Franciszka Józefa i zawsze pykał tę swoją fajkę - cybuch. Ona, Majymetł, sprzedawała kury (zarżnięte) na Małym Rynku. W zimie zawsze trzymała między nogami tzw, "fajertop" - naczynie z rozżarzonymi węglami. Z opowiadań jej konkurentek można było wywnioskować, że czasami stamtąd wydobywał się podejrzany swąd (zapach). Opowiadano, że pewnego razu zjawił się u niej w domu inkasent podatkowy i z progu krzyknął : " niech pani natychmiast pokaże wszystko co pani ma ". Nie namyślając się długo, odwróciła się tyłem do pana inkasenta i podniosła spódnicę aż pod samą szyję. Pan inkasent się do tego stopnia przestraszył, że wyleciał jak z procy i więcej się nie pokazał. Mieli syna z inklinacjami w kierunku polityki. Oboje rodziców zginęli w czasie hitlerowskiej okupacji. O ich synie, po wojnie nigdy nie słyszałem.

Za tym domem była tzw. "Łyka" prowadzącą w dół na Mały Rynek. Do tej Łyki od strony ulicy Sobieskiego przylegało oarterowe zabudowanie przeznaczone tylko dla sklepów. Był tam między innymi sklep - trafika z wyrobami tytoniowymi i słodyczami należący do niejakiego Ruderfera. Z jedną z sióstr tego pana związana jest następująca sensacyjna historia. Z jakichś tam powodów, prawdopodobnie romantycznych, starsza siostra ortuła się jakimś odczynem

siarczanym. Nam, dzieciom opowiadano naiwną wersję, że była to siarka nastrugana z główek zapalczanych; cóż, dzieci w to wierzyły; a starsi ? niby nie ? Zabrano ją do szpitala gdzie wkrótce zmarła. Chyba na krótko przed śmiercią zakrzętnęły się wokół niej zakonnice - siostry szpitalne kurujące szpital i wychrzciły ją nawracając na wiarę rzymsko - katolicką. Z uwagi na to, że za życia nie zdołała niczym zgrzeszyć w odniesieniu do nowej wiary, można ją było uznać za świętą i z tego tytułu miała mieć zapewnione miejsce w niebiańskim raju. Nadano jej imię chrzestne Maria, wydrukowano i rozlepiono po całym mieście klepsydry ze znakiem krzyża, i zamierzano pochować ją na katolickim cmentarzu, według rytuałów chrześcijańskich. Dla całej rodziny i tej religijnej społeczności żydowskiej w naszym mieście była to straszna tragedia. Krążyły nawet słuchy, że zebrała się jakaś grupa, która ponoć miała ją wykraść ze szpitala i pochować na żydowskim cmentarzu, według rytuału religii Mojżeszowej. Nie pomogły żadne lamenty, krzyki, ingerencje rabinatu i negocjacje z kurią katolicką. Ostatecznie pochowano ją zgodnie z obrządkiem katolickim. Po pewnym czasie cała sprawa ucichła i życie w tym naszym Drohobyczu potoczyło się zwykłym trybem.

Brat i siostra tej świętej Marii przeżyli wojnę. Może jednak, w jakimś tam stopniu pomogła niebiańska protekcja ich świętej siostry. Bo Żydzi takich koneksji i protekcyjności nigdy nie posiadali - ani w niebie, a tym bardziej na ziemi. Żydzi zawsze byli cierpiętnikami i według kanonów chrześcijańskich po wsze czasy mieli odpokutowywać za pierwotny grzech odrzucenia nauk Chrystusa i nie potępienia Rzymian, a wręcz chwalenie ich za jego ukrzyżowanie. Za ten grzech pierwotny, my, współcześni zawsze musieliśmy ciężko płacić. Nawet dziś, gdy już mamy własne państwo.

Tolerancyjnością w stosunku do innych wierzeń nigdy nie grzeszyliśmy. Za to pretensji w stosunku do innych mamy bez liku.

Po przeciwnej stronie ul.Sobieskiego mieściły się posesje klanu Hopfingerów. Najbardziej prominentną postacią w tym klanie był Ajzyk. Niskiego wzrostu, w okularach, garbaty z przodu i z tyłu. Mieli sklep żelazny, z dużym szyldem na imię Ajzyka. Sklep ten był bardzo prosperujący. Oprócz niego byli dwaj bracia - Jonas i Mechł z rodzinami. W kompleksie naprzeciw nas mieszkali tylko Ajzyk i Jonas z rodzinami. Mechł wybudował sobie oddzielny dom na tzw. Schreierówce; tam mieszkał z rodziną i jeszcze wynajmował innym. Ajzyk, oprócz sklepu był ważnym działaczem kahalnym. Pełnił też funkcję "gabego" (administratora) w Wielkiej Synagodze. Miał troje dzieci - Różkę, Julka i Andzię (moją rówieśnicę) którą myśmy nazywali "cucak" (bez przerwy ssała palec). Z rodziny Ajzyka nikt wojny nie przeżył.

Jonas był raczej postacią bezbarwną. On sam nie przeżył. Co z jego dwojga dziećmi się stało - nie wiem.

Parę zdań należy się Mechłowi. W naszej okolicy nazywali go Mychajty-Żłob, z powodu jego siły i odwagi. Miał córkę Stelę, synka Ignasia w moim wieku i dwóch starszych synów - Mundka (Markus) i Julka. Mundek był starszy. Na wzór ojca, obaj byli bardzo bitni; cała okolica - zarówno Żydzi jak i nie-Żydzi nie śmieli z nimi zaczynać. Mundek grał w piłkę, zawsze w obronie; wpierw w klubie sportowym "Gwiazda" którą władze później zamknęły, ponieważ za bardzo angażowała się w politykę. Mundek i jego dwaj koledzy przeszli do konkurencyjnego klubu "Betar". Zwolennicy byłej "Gwiazdy", o inklinacjach lewicowych, uważali to za zdradę. Chodzili na mecze gdzie ta trójka grała, ale już w innych, betarowskich barwach, głównie po to ażeby ich "heklować" (przeszkadać). Niedługo po tym jakaś pro-gwiazdowska grupa, w ciemnym kącie spuściła Mundkowi porządne lanie. Przez jakiś czas chodził on z obandażowaną głową. Ponoć, mój starszy brat Szlomku miał w tym brać udział.

Pewnego razu mój drugi brat, Szymon, nabierając wodę przy pompie jak raz o dwa kroki od sklepu Hopfingerów, nadział się na Mechła. Ten biorąc go za Szlomka, trzepnął Szymona pięścią w oko. Widocznie musiał mu uszkodzić nerw, bo wszystkie lata po tym, to oko mu stale łzawiło. Była sprawa w sądzie, oni jednak mieli lepszą protekcję od naszej, bo my

żadnej nie mieliśmy. Czym się sprawa skończyła - nie pamiętam; w każdym razie nie na naszą korzyść. Szymon był w tym przypadku Bogu ducha winien.

Z opowiadań innych drohobyczan wiem, że Mechl zachowywał się bardzo odważnie w czasie hitlerowskiej okupacji. Jacyś miejscowi Ukraińcy z którymi przed wojną miał na pieńku, szukali zemsty i przyszli go zabić. On się tak łatwo nie dał. Łańcuchem się bronił i to bardzo odważnie; oni go w końcu dopadli, bo było ich kilku i na śmierć zatłukli. Tak łatwo się nie dał i za to, pośmiertnie należy mu się uznanie.

Mundek i Julek wojnę przeżyli. Cała reszta rodziny została zamordowana przez niemieckich bandytów.

Inną, ciekawą osobą zamieszkującą w domu Hopfingerów był stary, brodaty i pejsaty Żyd. Nazywali go "tresydykio Jankały" Przewisko wywodziło się z tego, że przez cały czas potrzasał głową i ramieniem z lewa na prawo i na odwrót. Był on bardzo obkuty w świętych księgach; miał przy tym fenomenalną pamięć. Na pamięć wiedział kto, kiedy i gdzie się urodził, kiedy umarł, gdzie jest pochowany i kiedy należy za niego odmówić "kadysz" (modlitwa za umarłych). Mieszkał z dwiema kobietami - która z nich była żoną - nie wiem; były tam też dwie dziewczyny w moim wieku - czyje? Nie wiem. Nikt z tej rodziny wojny nie przeżył.

Na naszej ulicy Sobieskiego asfaltu nie było i po deszczu błoto było nie do przejścia. A żeby przedostać się na drugą stronę ulicy Sobieskiego trzeba było dojść do ulicy Stryjskiej (tam był asfalt i również u-turn).

Jakieś trzydzieści metrów od posesji Hopfingerów była wewnętrzna uliczka, tylko dla pieszych, prowadząca do tzw. Małej Synagogi. Stamtąd można się było dostać do Dużej Synagogi. Okoliczne domy tworzyły rodzaj czworoboku podwórzowego zamieszkałego w większości przez biedotę, jakkolwiek było też kilka rodzin którym się jako tako powodziło. Podwórze, stosunkowo duże ale trochę pagórkowate służyło, ku niezadowoleniu mieszkańców, za plac do gry w piłkę nożną. Za piłkę zazwyczaj służył nieduży, dziecinny balon, najwyżej o 10-cio centymetrowej średnicy, albo też po prostu "szmaciak". Prawdziwy futbol na tym terenie nie był znany. Zresztą, jeżeli mieszkańcy jako tako tolerowali małą piłeczkę albo szmaciak, to na duży, normalny futbol nigdy by się nie zgodzili. Bali się o swoje okna.

Kilka zdań o jednej z tamtejszych, "ważnych" rodzin. Właściwie, to też był rodzaj klanu, jednej wspólnej rodziny, prawdziwego nazwiska której nigdy nie znałem. Wszyscy ich znali tylko z przydomka, "KAK". W języku folkloru "jidysz" miało to różnorakie znaczenie. Mogło się wywodzić ze słowa "kakać", albo po prostu "gówno", jak się komu podobało. Fakt, że wszyscy i wszędzie znali ich jako KAK, i to od wielu dziesięcioleci, jeszcze sprzed I-ej wojny światowej. Tak to jakoś do nich przyłgnęło, że nigdy się o to nie obrażali. Zresztą w tej części miasta wszyscy mieli jakieś przydomki i rzadko kto się obrażał. Szło to za nimi aż do grobowej deski i może tylko wtedy wychodziło na jaw jak się delikwent naprawdę nazywał. W wielu przypadkach przydomko mogło mieć swój rodowód albo z profesji, albo z jakiejś wady cielesnej, albo też z miejsca pochodzenia. Czasem wywodziło się z jakiegoś losowego wydarzenia. Jednym słowem - cały folklor.

Wracając do klanu KAK, wymienić należy następujące imiona: Szpryncy Kak (ta najważniejsza, "królowa" rodu), Mendł Kak, Chaskiel Kak, Byniy Kak, Fradł Kak - i wszyscy do kupy - BNEI KAKIYS. BNEI wywodzi się z hebrajskiego słowa RÓD; a za tem Ród Kakiys.

O mężu Szpryncy nigdy nic nie wiedziałem. Chyba umarł jeszcze nim ja się urodziłem. Niemniej jednak, różne przypowieści o nim krążyły. Oto niektóre z nich. W czasie I-ej wojny światowej, kiedy Kozacy weszli do naszego grodu jakiś zabłąkany Kozak wpadłszy do domu Szpryncy, ryknął po rosyjsku: "Kak wasza familia?". Bo trzeba wiedzieć, że słowo KAK ma zupełnie inne znaczenie po rosyjsku, aniżeli w języku jidysz. Po rosyjsku "kak" oznacza "jak". Chodziło o to, że kozaczyna zwrócił się z zapytaniem: "jak się nazywasz?". Szpryncy, nie znająca ani jednego słowa rosyjskiego usłyszawszy dźwięk KAK, wpadła w furję i zaczęła krzyczeć w języku jidysz: "a szlag by trafił i cholera napadła na tych naszych sąsiadów - nawet Kozakom musieli nagadać, że przezywają nas KAK". Innym razem, w tychże dniach,

kiedy dotarła wieść, że Kozacy weszli do miasta, Szprynca chwyciwszy dwa puste wiadra ruszyła do drzwi z okrzykiem po jidysz: "zobaczysz zaraz jaki grom na nich spadnie - z samego rana idę im drogę przejść z dwoma pustymi wiadrami" Wtedy mąż Szpryncy ją skrzyczał: "Szprynco, tyle razy Ci mówiłem, żebyś się do polityki nie wtrącała; jeszcze jakieś nieszczęście na nas sprowadzisz". Według ludowej przypowieści przejść komuś drogę z pustymi wiadrami i to jeszcze z samego rana, to tyle samo co zobaczyć czarnego kota przebiegającego drogę: nieszczęście murowane. Opowiadają też, że pewnej nocy Szpryncę obudziły ostre bóle w jej "klatce z piersiami"; zbudziła swego syna Mendla ze słowami (po jidysz): Mendł niedobrze mi; wtedy obudzony Mendł krzyknął na nią: Szprynco, leż i nie zawracaj głowy, w dzisiejszych czasach wszystkim jest niedobrze.

Mendł, syn Szpryncy, był fryzjerem w miejskiej łaźni. Bywalcy łaźni często urządzali mu różne kawały. Pewnego razu, gdy golił jakiegoś nie-żydowskiego gościa, schowali mu brzytwę. Gość już był namydlony, a brzytwy nie ma. Mydli go i mydli a brzytwy jak nie ma tak nie ma. Gość nagi, się denerwuje, a Mendł go wiąże mydli i podśpiewuje po jidysz: bandyci, rabusie, co chcecie od mojego nieszczęsnego życia, oddajcie mi brzytwę ażebym się mógł tego goja pozbyć. Szkoda mi tych parę grosz, no i boję się, zlitujcie się. No i dowcipnisie się w końcu zlitowali nad doprowadzonym do płaczu Mendlem i brzytwa się odnalazła. Dowcipny był ten łaźniany ludek.

Jeżeli już mowa o tej łaźni miejskiej, to może i warto poświęcić kilka zdań tej instytucji. Po pierwsze, nie każdego było stać zapłacić za wstęp. Mój ojciec tam nie chodził. Niektórych z moich zasobniejszych kolegów ojcowie zabierali ze sobą. Czasem i mnie jakoś udawało się wkręcić na "waleta". Parówka i tzw. mykwa (basen) były w dolnej kondygnacji. W piecu rozżarzano kamienne głązy do czerwoności i co pewien czas zalewano wodą, tworząc w ten sposób parę. Do tego był specjalny posługacz. Na górnych półkach było trudno wytrzymać. Te miejsca były dla ludzi o mocnych mięśniach sercowych. Siedzieli, pokrzykiwali, bili się miotełkami z dębowych liści i polewali zimną wodą. W górnej kondygnacji łaźniennego budynku była obszerna sala rekreacyjna. Stały tam drewniane prycze na których można było się położyć i odpoczywać. Ściany dookoła były obstawione szafkami dla ubrań. Co zamożniejsi mogli sobie wynajmować tzw. separatki; były to zamknięte pomieszczenia 1 na 2 metry, z lustrem i wieszakami na ubranie. Obok, w oddzielnym pomieszczeniu był bufet. Sprzedawano tam talerzykowe porcje fasoli - jasiek, mocno posolonych i pieprzonych, no i zimne piwo z beczki w tzw. halbach. Ta pieprzona fasola miała zwiększyć pragnienie co było z korzyścią i dla bufeciarza i dla gości dla uzupełnienia utraconych w czasie parówki płynów w organizmie. Na ogólnej sali był też masażysta z usług którego można było korzystać za dodatkową opłatą. Można powiedzieć, że łaźnia była jak gdyby miejscem towarzyskich spotkań. Tam poniekąd zacierały się różnice klasowe i kastowe. Goli ludzie byli sobie równi. Powiedzenie, że szata zdobi - tam nie miało zastosowania. Dopiero po wyjściu z tego przybytku cielesnej rozkoszy wszystko wracało do poprzedniego, codziennego stanu.

Największą frekwencją łaźnia cieszyła się w piątkowe dni. Ludzie wracali do swoich domów odświeżeni i przygotowywali się do pójścia do bóżnicy i powitania soboty.

W niedzielę łaźnia też była czynna, ale z inną już publicznością. Dużo wtedy było nie-Żydów i takich co to musieli w niedzielę trzymać swoje interesy zamknięte. Pewna kategoria ludzi do łaźni chodziła tylko kilka razy w roku - przed wielkimi świętami jak Rosh Hashana (Nowy Rok), Pesach, Jom Kipur. A co z resztą roku? Myli się w miednicach, albo sflukiwali twarz i ręce i to im wystarczało. Bo wtedy łaźniakom pospólstwo nie znało. Łazienki były tylko w niektórych bogatych domach. To samo zresztą odnosiło się do lodówek. Każdy na swój sposób chronił swoje produkty - zimą za oknem, latem w nisko położonych piwnicach, jeżeli ktoś takowe miał. Restauracje i bary korzystały z brył lodowych dostarczanych za specjalną opłatą. Wszystkie te błaga cywilizacji bez których dzisiejsze życie jest nie do wyobrażenia, nabierały rozpędu dopiero po II-iej wojnie światowej.

W związku z tymi sporadycznymi bywalcami w łaźni, przypomniała mi się historia jednego z nich. Okrągły rok nosił na sobie swego rodzaju nacielny spencerek chroniący go od zimna. Nagle ubzdurał sobie, że go gdzieś zostawił albo zgubił; nie wykluczał też, że mu go skradli (tylko w jaki sposób skoro zawsze go miał nasobie i to pod koszulą). Pewnego razu, przed którymś ze wspomnianych świąt postanowił pójść do łaźni. Wrócił stamtąd wniebowzięty i już od progu zawołał do swojej żony: Blima (ją nazywali Rojte Blimy), Pan Bóg jest miłościwy, spencerek się odnalazł! Co się okazało - rozbierając się w łaźni, przy ściąganiu koszuli, na ogół zmienianej na święta, nagle stwierdził: jest! Cały ten czas miał go na sobie, na gołym ciele, nie zauważając go; do spania zazwyczaj koszuli nie rozbierał.

Jakieś 90 procent dawnych bywalców łaźni wojny nie przeżyło.

Jak już wspomniałem, ten nasz pierwszy odcinek ulicy Sobieskiego zaczynał się od ulicy Stryjskiej i po jakichś 300 metrach dochodził do skrzyżowania z ulicą Dr.Leona Reicha. Tam zaczynał się tzw. Łan, ulica w której przeważało żydowskie ubóstwo i nędza. Na jednym rogu był wyszynk (sprzedawano wódkę) Heiliga, swego rodzaju "zabiegałowka" do której chłopci przyjeżdżający na poniedziałkowy jarmark wpadali na wypitkę i zakąskę. Właściciela zamordowali w czasie okupacji niemieckiej ci że chłopci których przed tem poił wódką. Młodszy z synów, który ze mną chodził do szkoły, podobno się uratował i po wojnie mieszkał w Nowym Jorku. Były tam jeszcze dwie siostry i starszy brat o których po wojnie niczego się nie dowiedziałem.

Na przeciwnym rogu była piekarnia Frajdy Held. Zazwyczaj pracowało tam stosunkowo dużo ludzi (chyba ze 30-tu). Od czasu do czasu wybuchały tam strajki. Piekarze żądali poprawy płac. Sama właścicielka, Frajda, była dzielną, przedsiębiorczą kobietą. Bez męża (wcześnie zmarł) prowadziła interes, wychowywała dwóch synów i córkę. Jeden z synów, ten starszy, Alter, pomagał matce w prowadzeniu interesu. Młodszy, Majorku (później Józek), był studentem Państwowego Gimnazjum. Starsza siostra, Recha, przedw wojną wyjechała do Paryża i stale tam zamieszkiwała.

Majorku-Józek był uroczym człowiekiem, co nie przeszkodziło mu mieć przelotny romans z ich służącą, Ukrainką, wynikiem czego była ciąża i dziecko - syn.

Mama Frajda wyekspediowała Józka do Paryża, do siostry. W międzyczasie rozpoczęła się (nie jestem pewien) czy to sprawa sądowa czy też postępowanie rozjemcze. Mówiono, że mama Frajda gotowa była wypłacić matce dziecka dużą na owe czasy sumę pieniędzy pod warunkiem, że ta odda dziecko na zawsze i bezpowrotnie. Matka dziecka podobno się nie zgodziła. Sama go wychowała i wykształciła. Na ile wiadomo, Józek się do tego dziecka nie przyznawał, żadnych kontaktów nigdy nie nawiązywał. Z opowiadań osoby kiedyś blisko stojącej rodziny Heldów wynikało, że widziała się z tą matką i synem po wojnie, dorosłym już człowiekiem, wystudiowanym inżynierem, imponującym mężczyzną, podobnym do ojca. Dokładnie jak i co - nie wiem.

Józek ukończył studia inżynierskie w Grenoble we Francji. W czasie wojny Niemcy go złapali i wywieźli do Oświęcimia. Po drodze udało mu się uciec, w czym pomogli mu członkowie francuskiej resistance. Przedostał się do Szwajcarii gdzie spędził całą wojnę. Tu wybiegnę nieco wprzód, poza 1939-y rok. Po wojnie wrócił do Polski i jako inżynier elektryk był jednym z budowniczych linii wysokiego napięcia Śląsk - Łódź, za co otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. Po jakimś czasie został aresztowany w głośnej sprawie braci Fieldów. Prawie rok przesiedział w śledztwie i później wypuszczony na wolność. Miał chłop widać szczęście, bo na ogół w takich sprawach ludzi "rozwalali". Później, po wojnie pracował na eksponowanym stanowisku w Instytucie Badań Jądrowych. Był ożeniony z Waldą, mieli dwie córki. W Warszawie utrzymywaliśmy bliskie stosunki towarzyskie. W ich mieszkaniu na Wilczej poznaliśmy wielu ciekawych ludzi. W 1968 roku Heldowie opuścili Polskę i zamieszkali w Paryżu. Siostra Recha zmarła po wojnie w Paryżu. Tamże zmarła Józka żona Walda, a kilka lat później - Józek.

Wracając do tamtych lat - matkę Frajdę zamordowali Niemcy. Brat Alter zaginął w zawierusze wojennej.

Za piekarnią Heldowej, w kierunku Łanu był szlachtuz czyli rytualna rzeźnia. Tam zarzynano kury, kaczkę, gęsi.

Za rzeźnią był dom Kamermanów, należący do dziadków dwóch moich kolegów - Moszka i Altera. Blisko przyjaźniłem się tylko z Moszkiem. Dom ten stanowił coś w rodzaju rodzinnego "kołchozu". Mieszkały tam trzy córki z rodzinami, jeden syn - Szulim, wtedy jeszcze kawaler, i drugi na poddaszu z rodziną; ten syn był w permanentnym konflikcie z resztą rodziny. Jedną z córek, tą najprzystojniejszą, Malka, wyszła za męża za bogatego właściciela garbarni, Herzlingera; zmarła przy urodzinach pierwszego dziecka. Najstarsza córka, Frymca, zamężna za jednego z synów blacharza, Kesselmana, właściciela kamienicy przy ulicy Podwale - mieszkała we Lwowie. Mieli syna, Siunę; każde lato spędzał on wakacje w Drohobyczu u dziadków; z nim byłem bardzo zaprzyjaźniony. Wojna nas rozdzieliła. Cała rodzina z Łanu, za wyjątkiem Szulima została zamordowana przez Niemców. Taki sam los spotkał matkę Siuny we Lwowie. Siuna z ojcem wyszli ze Lwowa na samym początku wojny, w 41-ym roku. Ojciec Siuny zaginął w czasie zawieruchy wojennej,

Na tejże ulicy L.Reicha mieściła się Wielka Synagoga. Okazała budowla sprzed kilku wieków, synagoga zaliczała się do jednej z najstarszych w Europie.

Za synagogą był Szpital Żydowski, chyba nie więcej jak na dziesięć łóżek. Co tam leczyli i jacy byli lekarze - pojęcia nie mam. U wylotu tej ulicy był dom przedpogrzebowy gdzie myto umarłych i tzw. Stary Cmentarz Żydowski.

O innych rodzinach tej ulicy nie sposób jest pisać, bo za wiele ich było i zajęło by to zbyt dużo czasu i miejsca w tych zapisach. Wspomnę tylko rodzinę Schoenfeldów kupców branży spożywczej, rodzinę Benkendorfów ("kaczki") handlarzy rybami, rodzinę Kitajgrodzkich, kupców zbożowych, rodzinę Dawidmanów kupców drzewnych, rodzinę Fromerów i może jeszcze dwóch, trzech innych. W tych rodzinach dzieci posyłano do gimnazjum; głód tam nie zaglądał, jak to miało miejsce w dziewięćdziesięciu procentach innych rodzin w tym kwartale. Dalej już prowadziła tylko droga Hyrawkę, mijając Nowy Cmentarz Żydowski.

W tym naszym Drohobyczu z pewnością kiedyś było dużo więcej ciekawych rzeczy i poszczególnych postaci. Jak dotąd wziąłem pod uwagę tylko tych z mojego najbliższego otoczenia. Otoczenie w którym wyrosłem i obracałem się do września 1939-o roku, w ogólnej historii figuruje jako data wybuchu II-iej wojny światowej i jeszcze dwa lata później tzn. do czerwca 1941-go roku, to jest do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej kiedy wkroczyłem w 17-y rok mojego życia. Jak już wspominałem na wstępie tych zapisów, w naszym mieście dominowały trzy grupy narodowościowe: Polacy, Żydzi i Ukraińcy. Mniejszość stanowili Ukraińcy. Polacy i Żydzi jak mi się zdaje, tworzyli pewną równowagę. Pod względem geograficznym, obszarowym, każda z tych grup koncentrowała się w określonych dzielnicach.

Tak zwany "Łan" i przyległe uliczki - Kowalska, Stolarska, Garbarska, Brudna i dolna część Sobieskiego od strony Stryjskiej stanowiły domenę żydowskiej biedoty i tych którzy się później trochę "podchrąpali" i jakoś nie mogli się zdecydować na jej opuszczenie. Widocznie, albo czuli się tu dobrze, albo też obawiali się zmian. Tu oni znali wszystkich i wszyscy ich znali. Nie - Żydów trudno było znaleźć.

Podstawowa masa ludności polskiej, tej średnio ustabilizowanej koncentrowała się raczej na peryferiach zielonych - Wójtowska Góra, Polna, 11-go Listopada, Liściańska, Kozłowskiego, Truskawiecka, Borysławska (obie częściowo), Sienkiewicza. W tych dzielnicach niektórzy z nich mieli własne, nieduże domki - owoc ciężkiej pracy całego nieraz życia.

Ukraińcy koncentrowali się głównie na ulicy Stryjskiej, najdłuższej bo chyba przeszło 3- kilometrowej, Iwana Franki, Kolejowej Niżnej, Śnieżnej, Szaszkievicza, św. Jura, na Młynkach.

Upper class, czyli warstwa bogaczy - przedsiębiorców, handlowców, lekarzy i innych wolnych zawodów - wszystkich trzech grup narodowościowych, po prostu "cała międzynarodówka" była na pryncypialnych ulicach w domach na ogół jednopiętrowych, z

bieżącą wodą, elektrycznością, w.c., łazienkami, piecami i wszystkim innym czego tamci nie mieli, a mogli tylko oglądać w kinie, na filmach. Tam, w czasie deszczu kałuże nie do przebycia. Tu asfaltowane lub kostkami wyłożone drogi, kamiennymi płytami wykładane trotuary, co ileż tam metrów zaflancowane drzewka itd. itp. Do tych ulic należały: Piłsudskiego, Mickiewicza, Sienkiewicza, Sobieskiego (te wyższe numery), część Czackiego, początkowe numery Stryjskiej, Pelczarówka, Szopena, Słowackiego i kilka innych.

Wielki Rynek był raczej kosmopolityczny, z przewagą żydowskich mieszkańców. Miał formę czworoboku, z budynkiem ratuszowym z czterema orłami i wieżą obserwacyjną pośrodku, niemal zewsząd z daleka widoczną i strażakiem wypatrującym ewentualne ogniska pożaru. Jedyne czego nie było, to cogodzinnego wygrywania hejnału z wieży Mariackiej jak to miało miejsce w Krakowie. Co było, i to bardzo użyteczne to czterostronne duże tarcze zegarowe, wybijające kwadransy i pełne godziny; w nocy podświetlane, widziane i słyszane z bardzo daleka. Wielu ludzi z tych biednych dzielnic korzystało z tego zegara, bo na zegary domowe tym bardziej naręczne nie wszyscy mogli sobie pozwolić. Niektórzy szczęściarze z tej biedoty mieli czasem szczęście dziedziczyć od dziadków zegarki kieszonkowe tzw. cebule z odkrywaniem wieczkiem a czasem nawet i z muzyką. Ja na przykład, pierwszy zegarek kupiłem sobie dopiero po wojnie w 46-ym roku za własne, zarobione pieniądze. Co się zachowało w pamięci, to pięknie utrzymany klomb u wejścia do ratusza z kwiatowym herbem miasta Drohobycza (dziewięć beczek soli wewnątrz tarczy z koronną głową)

W ratuszu mieściły się władze miejskie i różnego rodzaju urzędy. Nigdy tam wewnątrz nie byłem. Na zewnątrz budynku były jakieś sklepy. Co zapamiętałem to bardzo ekskluzywną cukiernię Babraja, aptekę Obrowicza, zakład fryzjerski odwiedzany widocznie przez miejscowych notabli i V.I.P. Do jednej strony tego czworobocznego kompleksu, naprzeciw ulicy Małej, przylegał wyłożony kamiennymi płytami plac. Odbywały się tam czasem jakieś wiece lub zebrania publiczne. Czego nie było, to publicznych szaleństw. Jeden taki powstał, chyba po wojnie (?) razem z placem samochodowym, na rogu ulicy Kowalskiej.

W ostatnich latach przed wojną, przed świętami Bożego Narodzenia przyjeżdżali akademicy - studenci Politechniki Lwowskiej i Uniwersytetu i na rynku przed ratuszem sprzedawali karpie. Miało to stanowić konkurencję dla żydowskich sprzedawców ryb na Małym Rynku, konkurencję nie tyle handlową, bo zarobić na tym po prostu nie umieli, ile o zabarwieniu antysemitycznym - w ramach akcji "nie kupuj u Żyda". Pamiętam też duże hasło rozwiewające na wietrze: "Kasia, Marysia, Weronika kupuje ryby u akademika". Do jakichś specjalnych ekscesów z tego powodu nie dochodziło. Nie - żydowska publika odnosiła się do tego raczej z pobłażaniem i obojętnością. Widocznie kupcy żydowscy potrafili swój towar sprzedawać bardziej atrakcyjnie i więcej fachowo. Wybryk ten trwał tylko jeden rok. Więcej akademicy się nie pokazali. A w ogóle to Drohobycz nie był podatny na rozpętywanie tego rodzaju waśni narodowościowych.

Dookoła rynku była sieć sklepów, w przeważającej mierze żydowskich. Nie - żydowskich była bardzo znikoma ilość. Co zapamiętałem, to tylko aptekę Tobiaszka, sklep cukierniczy Wesołowskiego (podobno Ukraińca z żydowską (?) żoną), olbrzymi sklep obuwniczy BATA.

Z bardziej wyróżniających się sklepów żydowskich zapamiętałem następujące: sklep obuwniczy Del-Ka, sklepy bławatne - Sandhausa, braci Müntzer, Wegnera Młodszeo, sklep galanteryjny L.Schreiera, skład wyrobów piśmiennych połączony z drukarnią M.Werdingiera, sklepy żelazne - D.Horowitza (męża mojej ciotki), Dienstaga, Adlera, sklepy z gazetami - Tunego, (spotkałem go po wojnie w Nowym Jorku), sklepy konfekcyjne - Hirshorna, Becka i jeszcze wielu innych.

Na szczególną wzmiankę zasługuje narożny sklep z koszerną wędliną M.Segala. Ten róg nazywano "Segalówką". Zbierała się tam cała politykująca, lewicowa młodzież. Stamtąd rozchodziły się różne wieści - te prawdziwe, pół-p prawdziwe i nie-p prawdziwe; tamteż można było zasięgnąć informacji co, kto, z kim, spotkać się z umówionymi ludźmi i wiele, wiele innych

rzeczy. Czy policja знаła ten róg ? Nie może być, że nie. Czy go tolerowała ? Widocznie tak. Czy ciągnęła z tego jakieś korzyści dla swojej pracy ? To już tylko ona mogła wiedzieć.

Cały ten czworobok rynkowy służył za aleję spacerową. Młodzi i nie-młodzi się tam spotykali i obchodzili ten czworobok niezliczoną ilość razy. Na jednym z rogów – Rynek Mickiewicza - była kamienica Wegnera Młodszeo. Stamtąd skręcano na ulicę Mickiewicza (kiedyś Samborska), tę ekskluzywną, zwaną "Corsem". Tam spacerowali ci stateczniejsi obywatele, dobrze ubrani, z laseczkami, no i gimnazjaliści obu płci. Gdzieś pośrodku tej ulicy był Dom Robotniczy, siedziba P.P.S.-u (Polskiej Partii Socjalistycznej), pilnowany przez taką kulejącą, starą towarzyszkę. Ona była nie tylko "pilnowaczką", ona była "occurant" we wszystkim co się działo wewnątrz tej posesji. Na przeciwko, po drugiej stronie ulicy był Bank Polski, ten najważniejszy w mieście do którego przywożono z "Dużej Stacji" (kolejowej) brzęczącą gotówkę, w woreczkach, na konnej platformie konwojowanej przez uzbrojonych policjantów. Napadów bankowych, za moich czasów nie było. W tym banku byłem jedyny raz w życiu, kiedy od ciotki w Ameryce dostałem w liście 2 dolary jako prezent na 13-te urodziny. Pamiętam, że dolar był 5.25 złotego.

Dalej ulicą Mickiewicza był Park Miejski z żeńską szkołą imieniem Królowej Jadwigi. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko, był dom-pałac Prezydenta Miast Rajmunda Jarosza. Ulica ta, brukowana kamienną kostką, była zawsze czysto utrzymywana. Rynek był asfaltowany. Zimą, w czasie wielkich mrozów na Rynku ustawiano żelazne kosze z żarzącym się węglem, ażeby biedni ludzie mogli się ogrzać, postać i porozmawiać. W ich domach palić nie było czym. Na drugim rogu Rynku był kościół rzymsko-katolicki z obszernym, zadrzewionym (kasztanami) placem ogrodzonym żelaznym parkanem.

Na tymże rogu był dom, w którym mieszkał uznany (w pełni, dopiero po śmierci) pisarz-egotysta (?) i malarz (kiedyś nauczyciel rysunku) - Bruno Schulz.

Z drugiej strony rynku, na ulicy Truskawieckiej (Grunwaldzkiej) i Borysławskiej była cerkiew grecko-katolicka.

W niedzielę obie te świątynie- rzymsko katolicka i grecko katolicka zawsze były przepelnione wiernymi.

Ulica Truskawiecka prowadziła z Rynku, poprzez Górkę do Truskawca i do poddrohobyckich wsi - Stebnika i Solca. Ulica Borysławska prowadziła z Rynku, poprzez Młynki albo Górną Bramę do Borysławia. Obie szosy były tylko częściowo bite i nie asfaltowane (Borysławska). Truskawiecka od strony Rynku była częściowo wyłożona granitową kostką.

O bóżnicach-synagogach już nieco wspomniałem. Ta główna synagoga, największa i najważniejsza była na Łanie. Drugą co do wielkości, ważności i socjalnego statusu była "Ojse Cheised" przy ulicy Piłsudskiego róg Kraszewskiego. Do niej należeli ludzie na ogół bogaci i zamożni. W jaki sposób mój ojciec się tam znalazł - nie wiem. Zamożnym nigdy nie był, a o bogaczach nawet mówić nie ma co; przynajmniej za moich czasów na ile pamiętam. Być może były to pozostałości z poprzednich czasów kiedy pracował i powodziło nam się nieźle. Bo opłaty synagoidalne, zdaje się, były wcale nie małe. Cała reszta drohobyckich bóżnic to były stosunkowo prymitywne Domy Modlitwy, (sztibls) porozrzucane po całym mieście.

Kino w Drohobyczu było dwa - Kino Sztuka i Kino Wanda (przed tym Wawel). Bilety wstępu dla dzieci mego stanu były dosyć wysokie. Na kino nie dostawałem pieniędzy i w tym względzie musiałem sobie sam radzić - czy to przez świadczenie różnych usług starszemu rodzeństwu, czy też zbieranie szmelcu i temu podobne. Kasjerka w kinie wpuszczała nas za 25 groszy, przy cenie najtańszego biletu (3-cie miejsce) 50 groszy. Czasem zabierało mnie do kina któreś ze starszego rodzeństwa. O tym ażeby któreś z rodziców kiedykolwiek chodził do kina - nie pamiętam.

Sal teatralnych było dwie. Jedna, Sokół, w budynku tzw. Domu Strzeleckiego zrzeszenia sportowego o teźże nazwie; druga niedawno przed wojną zbudowana jako Dom Legionowo Strzelecki, na części terenu Parku Miejskiego z wejściem frontowym bezpośrednio od ulicy Mickiewicza. Przyjeżdżały różne zespoły artystyczne z całej Polski w tym teź gwiazdy

pierwszej wielkości: Loda Halama, Hanka Ordonówna, Mira Zimińska, Eugeniusz Bodo, Chór Dana i wiele innych. Wystawiane też były od czasu do czasu sztuki żydowskie z Idą Kamińską. Z recytatorów zapamiętałem takie nazwisko jak Józef Kamen. Przypomniał mi się również występ amatorskiego zespołu teatralnego "Kultur Ligi" w języku żydowskim - "Kajtn" (Kajdany). Bilety wstępu były wcale nie tanie, ludzie jednak chodzili, bo mimo wszystko w jakiś sposób chcieli zaspokoić ten głód kulturalny.

Z kawiarni, oprócz ratuszowego Bobraja, była kawiarnia Szolza w której nieduża orkiestra przygrywała do tańca; od czasu do czasu odbywały się w tej kawiarni five-clocki, jakkolwiek większość publiczności nie bardzo wiedziała co to jest i czym to się je.

Hoteli było kilka - Europejski (taki lepszy), Szechtera, Dependance no i malutki hotelik o pretensjonalnej nazwie "Astoria". Według dzisiejszych kryteriów były to hotele o gwiazdkach raczej minusowych. W hotelu Europejskim kiedyś zatrzymał się Włodzimierz (Zeew) Żabotyński z okazji ślubu Menachema Begina (1937 ?), przywódcy "Bejtaru" na Polskę, z jedną z córek znanego drohobyckiego adwokata Dr. Arnolda. Begin w tym czasie odbywał aplikanturę postuniwersytecką u adwokata Arnolda i u niego też podobno mieszkał. Ślub odbył się w Truskawcu w jednym z tamtejszych pensjonatów. W Drohobyczu dostojnych gości witał tłum bejtarowców w brązowych koszulach, zdaje się na koniach (oczywiście wypożyczonych do tego celu). Miejscowa policja strzegła porządku. Aliza, (wtedy nazywała się inaczej, bardziej po polsku) była bliźniaczą siostrą której imienia nie pamiętam; w czasie okupacji zginęła w Oświęcimiu.

Raz do roku przyjeżdżał do naszego miasta i rozbijał swój 4-o masztowy namiot na Stawiszczu na przeciw remizy strażackiej, cyrk Staniewskich. Dużo było zwierząt i kłownów, w sumie frajda dla dzieci i też dla dorosłych.

Straż pożarna miała swoją orkiestrę-dętą i rżniętą jak się mówiło. Przygrywała ona zazwyczaj na uroczystościach weselnych i w czasie świąt narodowych: 3-go Maja i 11-ego Listopada; czasami też przygrywała na pogrzebach prominentów miejskich.

Szkół powszechnych, 7-io klasowych, było pięć: Konarskiego dla chłopców (tzw. czerwona szkoła, od koloru zewnętrznej elewacji), Orzeszkowej dla dziewcząt, Mickiewicza dla chłopców (tzw. biała szkoła, też od koloru zewnętrznej elewacji), Królowej Jadwigi dla dziewcząt, Kołłątaja dla chłopców i dziewcząt na Stryjskiej, dosyć daleko od centrum miasta. Nauczanie było obowiązkowe i bezpłatne. Bez tej masy zakamuflowanych, stosunkowo wysokich opłat, jak to ma miejsce dziś, czemu nie wszystkie rodziny mogą podołać, a szczególnie takie gdzie jest dwoje, troje i więcej dzieci w przybliżonym wieku szkolnym. I to pomimo krzykliwych i demagogicznych twierdzeń izraelskiego Ministerstwa Oświaty, że nauka w szkołach powszechnych jest bezpłatna. W szkołach w moim czasie, dzieciom, które tego potrzebowały wydawano na trzeciej, dużej przerwie kubek gorącego kakao i bułeczkę.

Gimnazjów, wszystkie płatne, jakkolwiek niekiedy z ulgami dla uczniów niezamożnych, było sześć (wcale nie tak mało). Gimnazjum Państwowe im. króla Władysława Jagiełły (tarcza 552); dla chłopców; przyjmowano tam również Żydów - czy i według jakichś kryteriów procentowych - nie wiem. Że studentów Żydów było niemało - to fakt. Ile wynosiła taksa miesięczna - nie wiem.

Gimnazjum na ukicy Szewczenki, zdaje się koedukacyjne (dla chłopców i dziewcząt (tarcza 626). Wysokości opłat nie pamiętam. Gimnazjum Handlowe - nazwy, tarczy i wysokości opłat - nie pamiętam. Gimnazjum Ukraińskie imieniem Iwana Franki, zdaje się koedukacyjne, przy ulicy Śnieżnej; również w tym wypadku tarczy i wysokości opłat nie pamiętam. Przypuszczam jednak, że dostęp i opłaty były bardziej dogodne i liberalne jako, że społeczności ukraińskiej zależało ażeby ta uczelnia nie tylko istniała i prosperowała, ale też i licznie się rozwijała; językiem wykładowym podobno był ukraiński; było tam wielu studentów spod drohobyckich wsi. Sądzę, że w jakiś sposób musiała być subsydiowana przez organizacje ukraińskie.

Gimnazjum koedukacyjne dla chłopców i dziewcząt żydowskich, imienia Leona Sternbacha, na ulicy Szaszkiewicza (z tarczą 625); popularna nazwa - Blata Gimnazjum - od nazwiska dyrektora. Ile wynosiła taksa - nie wiem. Tyle tylko wiem, że były ulgi dla niezamożnych studentów wykazujących się dobrymi wynikami w nauce.

Gimnazjum i Liceum Mechaniczne czyli tzw. Średnia Szkoła Techniczna dla chłopców, (z tarczą 175), daleko od centrum miasta, bo aż na ulicy Raniowieckiej tuż przy torze kolejowym w pobliżu Dużej Stacji (kolejowej). Opłata miesięczna była wysoka, zdaje się około 50 złotych miesięcznie. Również poziom był wysoki. Dla wielu dyscyplin (przedmiotów) angażowano wykładowców a czasem i profesorów Politechniki Lwowskiej. Dojeżdżali pociągiem, bo auta nie były wtedy tak rozpowszechnione jak dzisiaj. Szkoła ta w dużej mierze była ukierunkowana na przygotowywanie techników dla przemysłu naftowego w Drohobyczu, Borysławiu a nawet dla innych roponośnych terenów (Jasło, Krosno, Gorlice). Do szkoły tej przyjmowano po 7-iu klasach szkoły powszechnej, w odróżnieniu od innych gimnazjów do których szło się po 6-iu klasach. Dyrektorem, a może i właścicielem był inż. Czajka. Szkoła ta zawsze była przedmiotem moich najskrytszych marzeń.

We wszystkich gimnazjach i średnich szkołach obowiązywały przepisowe mundurki dla chłopców i dziewcząt, z naramienną tarczą (na lewym rękawie) z numerem szkoły. Chłopcy musieli nosić przepisowe czapki z daszkami i emblematem szkoły. Dla dziewcząt obowiązywały berety.

Wszystkie wspomniane gimnazja miały państwowe uprawnienia maturalne upoważniające do ubiegania się o wstęp na wyższe uczelnie - Uniwersytety i Politechniki.

Komunikacji publicznej jako takiej w naszym mieście nie było. Poruszanie się było ograniczone do dorożek konnych (fiakrów), taksówek i niedużej ilości autobusów. Wszystko to było w rękach prywatnych, bez jakiegokolwiek poparcia czy też subsydiowania ze strony władz miejskich. Do Borysławia i Truskawca jeździło się jednym z trzech wymienionych środków lokomocji. Do Borysławia można było również jechać pociągiem, co nie bardzo było wygodne z uwagi na duże odległości stacji kolejowych od centrum miasta. Do Truskawca już nie, bo kolej tam nie dochodziła. Ludzie się podśmiewali, że Borysław to już koniec świata, bo tam się tory kolejowe kończyły. Drohobycz natomiast był bardzo dumny z tego, że dokądkolwiek borysławianie by się nie wybierali - czy to do Paryża, Nowego Jorku, Rzymu, Berlina - zawsze musiało to być via Drohobycz. Autobusy, a było ich bardzo niewiele, należały do spółki Mojak i Bernstein. Rozkładów jazdy nie było. Jeżeli nabór pasażerów był odpowiednio wystarczający, wtedy ruszało się w drogę. Cała jazda trwała 1/2 - 3/4 godziny. Dorożką konną trochę dłużej. Do Lwowa jeździło się koleją (101 kilometrów). W ostatnich latach uruchomiono tzw. Lux Torpedę, ale to już był niebywały luksus. Jakoś nie mogę sobie przypomnieć aby ludzie naszego stanu jeździli do Lwowa tym, na ówczesne czasy supernowoczesnym środkiem lokomocji. Do miejscowości podmiejskich, okolicznych wiosek komunikacji motorowej nie było. Jeździło się tam wynajmowanymi dorożkami albo przygodnymi furmankami. My, dzieci chodziliśmy na ogół piechotą. Jeżeli o mnie chodzi, to przed wojną nigdy we Lwowie nie byłem. A bardzo się chciało. Po wojnie natomiast bywałem w większości stolic Europy, w obu - północnej i południowej - Amerykach, ale do Lwowa jakoś dotrzeć mi nie przyszło. Wiele razy jeździłem służbowo do Moskwy, ale o Lwów nie zahaczyłem i to pomimo, że miałem tam brata. Dlaczego ? Nie mam na to wytłumaczenia. W Drohobyczu po wojnie również nie byłem. Ale to już celowo. W mojej pamięci pozostał ten stary Drohobycz sprzed wojny, ten Drohobycz zamordowany, zgłodzony, Drohobycz, który umarł. A nowy, ten rzekomo powstały na gruzach, nowy Drohobycz przesiąknięty krwią najdroższych i bliskich mojemu sercu ludzi - mnie nie interesował. Po prostu nie chciałem tych starych obrazów zacierać w mojej pamięci. Może, a raczej wiem na pewno, że nie mógłbym tego wszystkiego zapisać, tak jak to właśnie teraz robię.

Jakaś dziwna nostalgia ? Czy ja wiem ? Pojęcia nie mam. Czy ten nasz przedwojenny Drohobycz miał jakieś zaplecze rekreacyjne ? Dla ludzi niezamożnych naszego stanu, raczej nie. Ci średniozamożni wyjeżdżali latem do Podbuża, Monasterzysk, Kropiwnika i jeszcze tam

gdzieś. Wynajmowali u miejscowych chłopów izbę, zabierali ze sobą naczynia, balie, miednice, pościel, częściowo też produkty - wszystko co niezbędne było do przetrwania 3-ch, 4-ch tygodni. Lokowali się zazwyczaj blisko jakiejś rzeczutki czy bajorka, lasku, do którego zresztą nie zawsze można było zachodzić bo stanowił on prywatną własność jakiegoś dziedzica lub obszarnika, pilnowanego przez umundurowanego gajowego z prawdziwą strzelbą i psem. Przed wyjazdem odbywało się rodzinne ważenie na odważnikowej wadze u Morgensterna i po przyjeździe na tejsze wadze. Wtedy, nie tak jak dzisiaj, jeździło się po to, ażeby przybrać na wadze, a nie stracić. Dzieci upychało się żarciem i samemu sobie też nie żałowano, bo taki był święty cel: przybrać na wadze i przez to nabrać sił na resztę roku. Jeżeli waga nie pokazywała przybytku - czas i pieniądze uważano za stracone. Mężowie, głowy rodzin, swoich interesów nie ważyli się opuszczać i tylko czasem dojeżdżali, na dzień, dwa. Moja rodzina takich wakacji nigdy nie sprawiała. Nie stać ją na to było.

My, dzieci, się "rekreowali" chodząc się kąpać do takiej rzeczutki - potoku, który się nazywał "Skiebicze", jakieś 8 kilometrów za miastem. Przechodziło się przez Hyrawkę, potem trzeba było przeciąć dwa lasy i dobrze wytrzeszczać głazki ażeby się nie napatoczyć na leśniczego. Po szczęśliwym dotarciu do rzeczki trzeba się było przepawić przez kładkę - pień drzewa spinający oba brzegi w tym miejscu wysokie na jakieś 4-y metry. Prymitywna poręcz tylko wzdłuż jednej strony kładki. Strasznowacie było, ale drogi powrotnej też nie było. Trzeba było przechodzić, nie zamykając oczu. Rzeczułka była 4-y metry szeroka; woda sięgała pół metra wyżej pępka, czasami u samych brzegów bywały zdradliwe dziury. Czy ktoś się kiedyś tam utopił? Chyba nie, chociaż raz widziałem jak jeden z chłopaków wpadł do takiej dziury i trzeba go było stamtąd "ratować". Większość drogi przechodziliśmy na bosaka; szkoda było zelówek. W drodze powrotnej, dorośli, którzy już gdzieś pracowali i trochę zarabiali, wstępowali do karczmy Weinfelda na Hyrawce i tam uraczali się poziomkami ze śmietaną i czarnym, wiejskim chlebem. Większość, nawet wśród dorosłych była na ogół bez pracy i przeżywała ślinkę tak jak my, dzieci. Czasem trafiali się tacy, zatrudnieni w rodzinnym interesie i stąd byli przy forsie, fundowali swoim bezrobotnym kolegom.

Na drugim końcu miasta, od strony Górki i dachówczarni przepływała rzeka Tyśmienica. Taka prawdziwa rzeka, figurowała na mapie, tyle że brudna od spływających ścieków rafineryjnych. Kąpać się w niej było niebezpiecznie; wychodziło się z czarnym tyłkiem trudnym do odmycia. Nieco dalej był dopływ maleńkiej, na meter szerokiej rzeczutki - Młynówki. Woda w niej była wprawdzie przezroczysta, ale dno kamieniste, z przylepionymi cząsteczkami ropy. Stamtąd też wychodziło się umorusanym, trudnym do zmycia tyłkiem. Cóż więc było robić? Niedaleko stamtąd był basen kąpielowy klubu sportowego "Junak". Tam trzeba było płacić za wstęp, a myśmy tych pieniędzy nie mieli. Basen był dosyć duży. Trzymali tam stałego ratownika, przyjemnego faceta, Malec się nazywał. Topielców wiele tam nie bywało, tak że pan Malec większość czasu flirtował z przystojnymi panienkami. Sam też był nie od rzeczy i może dlatego panieneczki waliły tam całymi gromadami. Czsem jednak znajdowali się "szwicerzy", marni pływacy zapuszczający się na głęboką wodę. Pan Malec ratował ich z opresji. Niektórzy z tych niedoszlých topielców chwalili się potem kolegom. Tak jakby było czym.

Były w naszym mieście również ośrodki siły (fizycznej). Pod tym względem podział miał charakter raczej narodowościowy, jakkolwiek bez antysemickiego zapaszku. Była grupa polska; nazwiska niektórych pozostały mi w pamięci - Mietek Gałuszka, Kuba Filipku, Franek Domański, bracia Załuscy, Mundeck Badak, Tabakiernik i kilku innych.

Z dugiej strony była żydowska grupa, której przewodzili Fiszt-Stefan (przezwiseko) i Szłojmy Ruderfer z rodziny rzeźników, bracia Rosberge, innych nazwisk nie pamiętam, a z pewnością było ich więcej. Obie grupy, w zależności od okoliczności i potrzeb dookopywali innych - mocnych i bitnych facetów.

Ukraińcy na ogół zachowywali neutralność i nie mieszały się w te nieswoje sprawy.

Żadnej z tych grup nie zaliczano do jakichś specjalnie zbrodniczych, notorycznych gangów czy też mafii. Pojęcia takie, w tym czasie, a szczególnie w naszym mieście nie były

znane. W gazetach specjalnie o tym nie pisano i w radiu o tym nie mówiono. Telewizja w tym czasie nie istniała. W tym samym czasie, za oceanem, w Ameryce, gangi i mafie były w bujnym rozkwicie. Do nas to nie docierało, więc się nie było z czego uczyć i co naśladować.

Sporadyczne rozróbki i bijatyki mimo to miały miejsce. Tych panów, z obu stron, można było poznać po tym, że nosili laski z pełnego bambusu z zaokrąglonymi rączkami i "skuwkami" od dołu. Policja się na ogół do tych konfliktów nie mieszała, bo nie uważała to za jakiś groźny problem zagrażający porządkowi publicznemu. Czym się ci ludzie trudnili i z czego żyli - nie bardzo wiem. To, że niektórzy z tej Gałuszkowej grupy "patronowali" "córy Koryntu" w naszym mieście, było widoczne. O Kubie Filipku mówiono, że w jakimś sensie był na usługach policji. Czy z jednego i drugiego można było "to make a living", jak mówią Amerykanie (czy z tego można żyć?) - nie wiem. Czym się w tym czasie zajmował Fiszl Stefan - nie wiem. Wiem tylko, że został aresztowany i zesłany do Berezki Kartuskiej, miejscem administracyjnego odosobnienia z jednorazowym terminem 3-ch miesięcy.

Warunki w tym obozie były bardzo ciężkie. W jakimś sensie wzorowany był na hitlerowski Dachau. Po to podobno Główny Komendant Polskiej Policji generał Kordian Zamorski jeździł do Niemiec na zaproszenie Himmlera. Patronował ten obóz w Berezce, Kostek Biernacki, gospodarz tego terenu (wojewoda). Okres zatrzymania był 3-y miesiąc. Władze się jednak uchylały. Jedną ręką po 3-ch miesiącach dawały zwolnienie, a jednocześnie drugą wręczały nakaz na kolejne 3 miesiące i tak kilka razy pod rząd. Nasz znajomy, Paweł N. w ten sposób odkiblował 7-em takich 3-ech miesięcznych terminów.

Jak mówiono, Fiszla Stefana zesłano tam za nielegalny handel walutą. Po 3-ch miesiącach wrócił, bardzo wychudzony, Szybko wydobrzeł i wrócił do formy. Podobno miał żonę (nie-Żydówkę) i syna.

W odróżnieniu od Fiszla, Szlojmy Ruderfer miał sklep rzeźniczy i prowadził przyzwoity tryb życia rodzinnego. Widocznie "mocarność" to było jego "hobby". Miał żonę i dwoje dzieci - syna i córkę. Z synem chodziłem do szkoły powszechnej. Przeżył wojnę w Rosji, wrócił do Polski i niedługo potem zmarł na serce. Za sowieckich czasów, w latach 39-41 tego rodzaju "hobby" nie było tolerowane. Władza była niepodzielna. Największą mafię stanowili oni sami z ludźmi których nawieźli ze wschodu. To była prawdziwa i bezwzględna mafia. Później jeszcze wrócę do tego.

Kilka zdań o różnego rodzaju organizacjach społeczno - politycznych w okresie przedwojennym - do wybuchu wojny polsko-niemieckiej we wrześniu 1939-go roku. W sektorze żydowskim było ich wiele; wymienię tylko niektóre z nich, te ważniejsze, a przede wszystkim organizacje syjonistyczne. Zacznę od "Haszomer Hacair" w skrócie Szomer, o inklinacjach lewicowych. Wyznawcy prądu syjonistyczno-socjalistycznego. Chcieli budować socjalizm, ale w swoim własnym a nie w obcym kraju, za jaki uważali Polskę. Szomer grupował stosunkowo dużą część młodzieży robotniczej z rodzin mało i średnio zamożnych. Stosunek ten uległ pewnej zmianie po rozłamie w innej syjonistycznej organizacji "Hanoar Hacyjoni", ciężącej ku prawicy. Duża grupa, przeważnie młodzieży studenckiej przeszła do Szomru. Kierownicze funkcje przejęli przeważnie ludzie z tej grupy, łącznie z kierownictwem gniazda (ken), jak nazywano każdą miejscową organizację. Ta nowa grupa okazała się o wiele radykalniejsza od poprzedniego nurtu.

Pod względem wychowania ogólnego, zaszczepienia swoim członkom wartości kulturalnych, ogólnoludzkich - Szomer się zawsze wyróżniał. Prowadzone pogadanki były na wysokim poziomie. Ludzie prowadzący pogadanki przygotowywali się do nich bardzo skrupulatnie.

Każda z kwuc przybierała hebrajską nazwę. Organizowano obozy i kolonie letnie w atrakcyjnych miejscowościach górskich, czego indywidualnie nie wielu członków mogło sobie pozwolić. Był sztandar i apele sobotnie. Szomer przyjął pryncyp skautingu, wzorowany na światowym ruchu skautowym założonym przez Anglika Baden-Powell'a. Trend był raczej ateistyczny, ale specjalnie o tym nie mówiono i nikogo w tym względzie nie indoktrynowano.

Rodzice na ogół pozytywnie się odnosili do wstępowania swych dzieci do organizacji szomrowej, jakkolwiek byli też i tacy którzy organizacji tej obawiali się, twierdząc, że stamtąd prowadzi droga do przewrotnego komunizmu. Obawy tego rodzaju wcale nie były nieuzasadnione. Rzeczywiście, wielu wychowanków tej organizacji zeszło na tę tzw. złą drogę - komunizmu, z wszystkimi stąd wynikającymi konsekwencjami. Przyszłość potwierdziła na ile właśnie sceptycy mieli słuszność. W Szomrze - tańce salonowe, noszenie krawatów, palenie papierosów, picie alkoholu manicure i makijaż były nie przyjęte, nie były tolerowane.

Drugą, a właściwie prawie że drugą co do wielkości, przed wspomnianym rozłamem, była Hanoar Hacyjoni, w skrócie Hanoar. Grupował on młodzież w pewnym sensie elitarną, ze średnio zamożnych, a nawet bogatych rodzin - o inklinacjach prawicowych, filisterskich. Dużo było studentów, mało robotników. O wewnętrznej strukturze tej organizacji nie wiele mogę powiedzieć. Ich kolonie letnie i obozy były dużo mniej liczne. Także tam podobno miały obowiązywać zasady zbliżone do szomrowych. W porównaniu jednak z Szomrem, nie tylko że nie były egzekwowane, ale wręcz lekceważone. Kiedyś mieli lokal obok nas, w kamienicy Nappego. Mieli za to wielu możliwych protektorów, czego Szomrowi było brak. Policja w stosunku do nich zastrzeżeń nie miała, jakkolwiek i tam zdarzały się, wprawdzie rzadko, "ucieczki" do radykalnej, skrajnej lewicy.

Kolejną, nawet dosyć liczną i dużo bardziej krzykliwą była organizacja rewizjonistyczna Bejtar (Brit Trumpeldorf), oparta na zasadach głoszonych przez światowego przywódcę tej organizacji - Włodzimierza (Zeewa) Żabotyńskiego, wiernym uczniem którego był Menachem Begin, ogólnopolski komendant Bejtaru. Struktura tej organizacji oparta była na zasadach "wodzowstwa" (komendanci). Na swoich uroczystościach i paradach nosili koszule o nieprzyjemnym, bo brudnym kolorze, z koalicijkami typu wojskowego i takimiż czapkami ze skórzanymi daszkami. Paramilitarny charakter tej organizacji wynikał z jej ideologicznego programu. W stosunku do innych organizacji i to nie tylko syjonistycznych, byli bardzo agresywni i zaczepni, skorzy do bójki. Wszelki pacyfizm był im obcy. W porównaniu z dwoma wyżej wspomnianymi organizacjami, u nich nie obowiązywały żadne restrykcje, przynajmniej tak mnie się wydawało. O ich wewnętrznej strukturze organizacyjnej absolutnie nic nie mogę powiedzieć, bo nie wiem. Czy przedwojenne władze polskie patrzyły na nich przychylnym okiem? Też nie wiem, chociaż dzisiaj znane są pewne fakty współpracy z polskimi czynnikami wojskowymi - obozy szkoleniowe, dostawy lekkiego sprzętu wojskowego i temu podobne. Dlaczego i w jakim celu? Co to Polsce miało dać?

Były również i inne organizacje i stowarzyszenia zrzeszające ludzi w średnim wieku. Dla przykładu: Jad Charuzim, Brit Hachajal, Achwa, Hitachdut, Boslija, Poalej Cijon Lewica. Tyle co zapamiętałem. W końcu wspominał mi się Z.A.S.S. - Zrzeszenie Akademików Syjonistów Socjalistów. Że miała charakter elitarny? Może być, chociaż nie jestem pewny.

Wspólnym dachem dla większości organizacji syjonistycznych był Dom Żydowski przy ul.Truskawieckiej. Była to cała instytucja, ze szkołą hebrajską prowadzoną przez pana Feingolda, kortem tenisowym, biblioteką, niedużą salą teatralną i jeszcze jakimś budynkiem wewnątrz tej posesji, przeznaczenia którego nie pamiętam. "Zarządzał" tym wszystkim pan Schwartz; nazywali go Szłojmy Pojlyszo. Człowiek agresywny o dyktatorskim spojrzeniu. Mieszkał na terenie tej posesji z całą rodziną. Podobno wiele od niego zależało. Czy tak rzeczywiście było? Nie wiem. Kto faktycznie tym domem zarządzał? Pojęcia nie mam. Rodzinę pana Schwartza, a szczególnie jego dwóch synów - Moszka i Abego znałem nawet dosyć dobrze. Wspomnę tylko, że Moszku był moim majstrem w warsztacie ślusarskim Russa, u którego uczyłem się zawodu. Często posyłał mnie do domu ażebym mu przynosił posmarowany chlebek kulikowski z flaszką mleka. Kiedy przychodziłem, mama Schwartzowa już wszystko miała przygotowane. Kawał drogi trzeba było "drałować", a żalości ten człowiek nie miał pomimo, że był bliskim przyjacielem mojego najstarszego brata, Szlomka. Czasem zapominał tą bułkę zjeść i nazajutrz, zcierstwiając ją ją zjadałem tak, ażeby nikt nie widział.

Z żydowskich organizacji nie-syjonistycznych zapamiętałem następujące: Bund, Cukunft (Przyszłość) - przybudówka młodzieżowa Bundu, Kultur Liga, AJAP czyli Ogólna Żydowska Partia Pracy, Gwiazda-Sztern. Bund znany był ze swoich tradycji socjalistycznych jeszcze z czasów caratu. Nigdy nie udało się go zbolszewikować. Zawsze stał na pozycjach antykomunistycznych. Była to organiczacja w skali światowej, skupiająca robotników żydowskich prawie we wszystkich krajach europejskich, szczególnie w Anglii. Miała również mocną bazę w obu Amerykach - północnej i południowej (USA, Kanada, Brazylia), wszędzie tam gdzie były jakieś skupiska żydowskie. W przedwojennej Polsce Bund współpracował z Polską Partią Socjalistyczną (P.P.S.) i był przez nią popierany. Przywódcami polskiego Bundu byli panowie Alter i Erlich, wielce szanowani nie tylko w Polsce. W czasie wojny znaleźli się na terenie ZSRR, zdaje się w okupowanym Białymstoku; tam zostali aresztowani przez Sowieców i zesłani do syberyjskich łagrów. Zwrócenie na podstawie umowy Sikorski-Stalin, byli pod specjalną opieką Polskiej Ambasady emigracyjnego Rządu Polskiego w Moskwie. Zdradziecko powtórnie aresztowani przez NKWD i rozstrzelani, po perfidnym i absurdalnym zarzucie szpiegostwa na rzecz hitlerowskich Niemiec. Nie pomogły usilne i uporczywe żądania ze strony czynników rządowych amerykańskich na rzecz ich uwolnienia.

W naszym mieście jednym z najważniejszych przywódców Bundu był pan Goldstein. Aresztowano go od razu po wkroczeniu Sowieców i skazano na 10 lat łagrów pod innym absurdalnym zarzutem, że rzekomo on miał zdefraudować kasę Bela-Kuna w czasie rewolucji węgierskiej w 1919 roku i z tego właśnie powodu ona upadła. Rodzinę jego, żonę i syna zesłano do północnego Kazachstanu. Żona, wybitna damska krawczyni zmarła tam z głodu. Ojciec, amnestionowany na podstawie tejże umowy Sikorski-Stalin niedługo potem zmarł. Jedyne dziecko, Arie, przeżył wojnę. Przez cały czas, aż do swojej śmierci (jakieś 3 lata temu) był prześladowany za niepopelnione grzechy ojca.

Organizacja Cukunft, której patronował Goldstein - ojciec, była w zasadzie opanowana przez prokomunistyczną szajkę której przewodził Z.F. i kilku jego najbliższych kumpli i to wbrew sprzeciwu miejscowego kierownictwa Bundu.

"Kultur Liga" miała się zajmować tylko krzewieniem kultury żydowskiej. Na tym jednak nie poprzestawała i aktywnie dryfowała w kierunku skrajnej lewicy. Tyle tylko, że robiła to w sposób bardziej elegancki i zakamuflowany.

Równoległe do wspomnianej Kultur Ligi, działała inna organizacja, też o zacięciu kulturalno-artystycznym, pod nazwą "Goldfaden". Nazwa pochodziła od nazwiska Goldfaden, uznanego za twórcę żydowskiego teatru. Czy organizacja ta zajmowała się tylko krzewieniem kultury żydowskiej? Raczej wątpliwe. Wiele o tej organizacji powiedzieć nie mogę, bo nie wiem.

A.I.A.P. (żydowska nazwa) czyli O.Ż.P.P. Ogólna Żydowska Partia Pracy była niemalże legalną przybudówką partii komunistycznej. Tajemnicą poliszynela było, że przeważająca część kierownictwa tej organizacji jak i większość szeregowych członków w jakiś sposób uczestniczyła w działalności komunistycznej. Policja miała tę organizację na oku i dosyć często ją "odwiedzała". W końcu cofnięto jej status legalności i została ona definitywnie zdelegalizowana, rozwiązana i zamknięta.

Gwiazda - Sztern w założeniu swoim miała być wyłącznie zrzeszeniem sportowym. W emblemacie swoim, oprócz 5-io ramiennej gwiazdy, były litery R.S.W.F. - Robotnicze Stowarzyszenie Wychowania Fizycznego. Jeżeli chodzi o wychowanie fizyczne, to w dziedzinie sportu dominowała piłka nożna z dobrze zorganizowaną, jak na nasze warunki, drużyną piłkarską całkowicie na bazie wolontarnej. Inne drużyny jak np. żydowski "Betar" i polski "Junak" mogły "kooperować" dobrych graczy oferując im intratne posady w drohobyckich rafineriach - Polminie i Galicji. Gwiazda takich możliwości nie posiadała. Oprócz działalności czysto sportowej prowadzona była względnie szeroka działalność kulturalno-oświatowa. Czynna była czytelnia, biblioteka, urządzano odczyty i wygłaszano referaty prowadzone przez różnych, czasem szeroko znanych osobistości. Organizowano też zabawy z okazji Sylwestra lub jakiegoś innego, oczywiście nie-państwowego święta. Przychodzili tam ludzie posiedzieć, poczytać, pograć w

szachy czy ping-ponga, wymienić poglądy, pograć w bilard itp. Był tam też dobrze prowadzony bufet. Z czasem działalność ta rozwinęła się coraz bardziej i to ze skłonnościami skrajnie lewicowymi. Władzom przestało się to podobać. W końcu organizacji cofnięto debit legalności, a niektórych członków kierownictwa, tych o bardziej gorących głowach, "zaproszono" na rozmowy do policji, a czasem też zatrzymywano do wyjaśnienia i nawet na dłużej. Nazwisko jednego z nich zapamiętałem - Leon Bruks, który nawet zmarł w więzieniu. Różne słuchy chodziły z jakiego powodu i na jakim tle. Z piłkarzy niektórzy przeszli do konkurencyjnego Betaru, o czym już wspominałem.

W naszym mieście istniał dobrze zorganizowany Żydowski Dom Sierot dla dzieci bez rodziców. Był on prowadzony nadzwyczajnie. Personel tam zatrudniony wyróżniał się wysokim poczuciem moralności i oddania. Oprócz nauki w normalnych szkołach, wychowanków tego domu przygotowywano do samodzielnego życia poza Domem. Sponsorami tego Domu były prominentne osobistości żydowskie, włączając dyrektorów Galicji. Niektórzy z wychowanków po ukończeniu szkół bywali zatrudniani w Galicji, co samo przez się uważane było za wspaniały "posag" i otwarcie drogi do dalszego, samodzielnego życia.

Po wejściu Sowieców w 39-ym roku Żydowski Dom Sierot został zlikwidowany, wspaniały budynek z wszystkimi przyległościami stanowiącymi własność tego Domu zaanektowano do jakichś innych, bardziej "szlachetnych" celów według sowieckich kryteriów. Wychowanków rozegnano - dokąd i gdzie? Nie mam pojęcia.

Istniał też u nas "Kahał" zadaniem którego było regulowanie całokształtu życia społeczności żydowskiej, według zasad i wytycznych Ministerstwa Oświaty i Wyznań Religijnych. Czym dokładnie Kahał się zajmował - nie wiem. To wiem, że zajmował się "umarłakami", zarządzał cmentarzami, rabinackimi sprawami, nadzorem nad koszernością, urzędem metrykalnym rejestrującym nowo narodzone dzieci itp. Urząd Metrykalny był instytucją rejestrującą noworodków i wpisywaniem ich do ksiąg wieczystych. Mama mnie tam często zabierała ze sobą co było jednym z jej obowiązków jako akuszerki asystującej przy porodach. Kierownikiem tego urzędu był pan Łajbały Spanderfer. Zapisów dokonywała bardzo sympatyczna pani (nazwiska nie pamiętam). Co mi pozostało w pamięci to, że pani tej bardzo zależało na tym ażeby dzieciom nadawać "chodliwe" imiona, jak np. Wilhelm, Emanuel, Arnold, Jonatan itp., zamiast Srulek, Icek, Mojsie, Hersz itp. Miało to im ułatwić życie w przyszłości, a w szczególności przy kontaktach z nie-żydowskimi urzędami, czy też z poszczególnymi urzędnikami. Wszystko to oczywiście za absolutną zgodą rodziców. Na ile to pomagało potem, w czasie hitlerowskiej okupacji - dobrze wiadomo.

Rasistowskie Nurnbergsetze czyli tzw. Norymberskie Prawa Rasowe dobrze o to zadbały ażeby żydowskość się nie zacierała. Każdy Żyd czy Żydówka musieli mieć jako pierwsze imię - Israel przed powiedzmy Arnoldem i Sara przed Eugenią itp.

Jako ciekawostkę potwierdzającą niemiecką dokładność z jednoczesną perfidią, chciałbym przytoczyć co się mnie przydarzyło. W 1960 roku w Warszawie potrzebny mi był wyciąg metrykalny. Poszedłem więc do Urzędu Stanu Cywilnego przy ulicy Nowy Świat 1 i poprosiłem o dokument zastępczy w przekonaniu, że wszystkie zapisy i dokumenty przedwojenne dotyczące Żydów, Niemcy zniszczyli. Urzędnik, który mnie przyjął, zapytał: a skąd pan jest i do jakiej parafii pan należał? Widocznie nie zorientował się, że ma przed sobą Żyda (miałem wtedy "dobry wygląd", to znaczy nie byłem podobny do Żyda). Wyjaśniłem mu, że jestem z Buga i nie z parafii tylko z gminy żydowskiej miasta Drohobycza. Lekko zdziwiony, kazał mi poczekać. Wyszedł i wkrótce powrócił z potężną księgą, mówiąc: właśnie z Niemiec otrzymaliśmy pewną ilość ksiąg zapisów: możliwe że pan tam figuruje. I rzeczywiście - była to jedna z ksiąg-zapisów drohobyckiego Kahału. Poznałem piękne, kaligraficzne pismo tej pani urzędniczki o której wspominałem. Mój zapis tam był i po 5-iu minutach otrzymałem wypis. Tacy byli ci przekłęci Niemcy, - urzędniczkę zamordowali, a księgi zachowali.

Wielkim wydarzeniem religijnym w naszym Drohobyczu była wizyta (zdaje się w 35-ym roku) cadyka z Bełzca, świętego męża, do którego z dużym respektem odnosiły się ówczesne

oficjalne władze. Chodziły słuchy, że podobno sam Marszałek Piłsudski czasami zasięgał jego rad. Całą policję postawiono na nogi. Witał go sam Prezydent Miasta i co ważniejsi notable miejscy. Miejscowi chasydzi tego cadyka, zapięci na ostatni guzik, chodzili jak w ekstazie. Przywilejem było dotknąć szat cadyka. Po kilku dniach euforia opadła i życie w naszym mieście powróciło do codziennej rutyny.

Kilka zdań chcę poświęcić nie-żydowskim zrzeszeniom i klubom w naszym mieście. Nie wiele o tym wiedziałem, a więc i do zapamiętania było niewiele.

O P.P.S.-ie już wspominałem. Domeną tej partii i całkowicie pod jej wpływem była miejscowa centrala związków zawodowych, tzw. Z.Z.Z. Podobnie do żydowskiego Bundu, i P.P.S. posiadał swoją przybudówkę młodzieżową. Chodzi o T.U.R. - Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych. Dlaczego uniwersytetów? Nie wiem. Pamiętam tylko, że był piłkarski klub sportowy o tej samej nazwie (TUR), nieduży, ale bardzo sympatyczny. Wyróżniali się w nim dwaj bracia - Kazik (starszy) i Bronek (młodszy) Paniczowie. Nieźle tę piłkę kopali jak na taki mały klub. Podobno przyjaźnili się z Żydami. Było też tzw. Czerwone Harcerstwo, w odróżnieniu od Związku Harcerstwa Polskiego - Z.H.P. wyznającego zasady skautingu Boden Powellovskiego. Pod względem narodowościowym był to czysto polski związek. Żydów i Ukraińców tam nie przyjmowano.

Niedaleko P.P.S.-owskiego Domu Robotniczego na Mickiewicza miało swój lokal Stronictwo Narodowe. Nas, dzieci, sama nazwa straszyla bo mówiło się, że to pałkarze, faszyci i antysemita. Na arenie politycznej naszego miasta nie było ich specjalnie ani widać ani słychać. Drohobycz widać był podatny na tego rodzaju ekstremalną działalność.

Była też tzw. Unia Kupców Chrześcijańskich. Lokal swój mieli na ulicy Mickiewicza. Widać ich było tylko z okazji świąt państwowych i uroczystości kościelnych. Maszerowali wtedy ze swoim sztandarem z pięknie wyszytą Matką Boską. W jakichś akcjach antyżydowskich nie uczestniczyli, bo takowych raczej u nas nie bywało. Nie było żadną tajemnicą, że handel w naszym mieście, w przeważającej większości był w rękach żydowskich.

Był też u nas Związek Kombatantów - Legionistów. Należeli do niego również Żydzi którzy walczyli w Legionach pod dowództwem Komendanta, późniejszego Marszałka Józefa Piłsudskiego. Również oni brali udział w defiladach w mundurach, czapkach-rogiatkiach i przy medalach. Ci ludzie korzystali za swoje zasługi z różnego rodzaju przywilejów - licencji, zezwoleń itp. Bardzo się z nimi w naszym mieście liczone.

Na arenie sportowej - silną, nawet bardzo była drużyna piłkarska C.W.K.S. Junak (Cywilno Wojskowy Klub Sportowy). Mieli bardzo dobrych sponsorów, przez co mogli sobie sprowadzać graczy z różnych krańców Polski. Dawano im dobrze płatne posady na Polminie i Drosie. Praca była raczej fiktywna, bo większą część czasu spędzali albo na treningach, albo też na wyjazdach drużynowych. Mieli ładne, duże i dobrze zaprowadzone boisko sportowe z dużą, jak na owe czasy trybuną. Na rozgrywki przyjeżdżały drużyny z całej Polski. Czasem też z zagranicy. W pierwszym okresie, na początku lat trzydziestych, kiedy byli jeszcze w klasie "C" i "B" grywali z Gwiazdą i Betarem. Później, już tego rodzaju rozgrywek nie było, bo Junak przeszedł do Ligi Okręgowej, a może wyżej. Wtedy ani Betar ani Gwiazda nie mogły być partnerami, bo wyżej klasy "B" się nie "dochrupali".

Była też kiedyś ukraińska drużyna "Pidhirja" (bez specjalnych sukcesów sportowych; później sama się zlikwidowała). Było też dwóch miejscowych sędziów piłkarskich, Ukraińców - inżynier Chomyszyniec i inżynier Kicyło. Ten ostatni ponoć był kiedyś trenerem piłkarskim.

Społeczność ukraińska politycznie była bardziej skonsolidowana od innych grup narodowościowych. Przeważały w nich sympatie nacjonalistyczne z dużymi wpływami O.U.N. - Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, zawsze antypolska. Była też nieduża grupa o zabarwieniu lewicowym, zdaje się U.N.P.S (?) - Ukraińska Niezależna Partia Socjalistyczna. Zezowała ona w kierunku komunistów. Co się z nią później stało - nie pamiętam. Została chyba zdelegalizowana przez ówczesne władze polskie.

Wpływy komunistów w ukraińskim środowisku miejskim były raczej nikłe. Inaczej wyglądały te sprawy we wsiach poddrohobyckich. Były takie wsie pół - nacjonalistyczne i komunistyczne, jakkolwiek na ogół z przewagą nacjonalistyczną.

Z okolic Drohobycza wywodzili się zabójcy generała Bronisława Pierackiego. Z tychże okolic był też późniejszy, krwawy przywódca nacjonalistów - Stefan Bandera. Stamtąd też podobno pochodził wybitny przywódca nacjonalistyczny, pułkownik Konowalec, zastrzelony w Berlinie ni to przez wywiad polski ni też przez N.K.W.D. Kto ich tam wie ?

Niedaleko Drohobycza była duża wieś Nahujowice, w której urodził się słynny na owe czasy pisarz ukraiński Iwan Franko. (książki – "Boa Constrictor", "Borysław się śmieje" i inne). Jego to imieniem nazwane zostało Gimnazjum Ukraińskie w Drohobyczu. Była też ulica Iwana Franki. Jak widać, przedwojenne władze polskie potrafiły się czasem zdobyć na liberalny gest w stosunku do ukraińskiej mniejszości. Jak się ta mniejszość odpłaciła w czasie wybuchu wojny polsko-niemieckiej w 1939-ym roku mogliby opowiedzieć ci zbiedzeni i bestialsko pomordowani żołnierze polscy. Mogliby, gdyby żyli. Straszne to było i nie do opisanía. Hitler obiecywał im "Samostijną" (Niezależną) Ukrainę. Sromotnie się na nim zawiedli.

Oprócz legalnie i prawnie działających, były organizacje i partie działające nielegalnie. Do tych należała K.P.Z.U.- Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy ze swoją przybudówką młodzieżową, komsomołem. Grupowała ona aktywnych działaczy jak i biernych sympatyków. Dziwięćdziesiąt procent stanowili Żydzi. Ukraińców było raczej niedużo, zaś Polaków prawie że nie było (na ile mi wiadomo). Może gdzieś tam w centralnej Polsce; w każdym razie nie w Drohobyczu.

W niektórych, nielicznych poddrohobyckich wsiach działały nieduże komórki komunistyczne złożone z miejscowych, młodych Ukraińców. W Drohobyczu policja miała tę organizację spenetrowaną swoimi wtyczkami tak, że o większości planowanych akcji z góry wiedziała. Mam wrażenie, że policja nie była znowu tak bardzo zainteresowana w zapewnianiu więzień. Co jest pewne, że sadzano tylko aktywnych działaczy, natomiast biernych sympatyków na ogół nie ruszano. Na "ewidencji" musieli być i jedni i drudzy. Jednym słowem, można było "usiąść" ale tylko za czynną działalność a nie za wyznawane poglądy. Swobodę słowa i myśli jednak respektowano (lewicowa prasa, wydawnictwa, książki itp.).

Czynny był u nas M.O.P.R. - Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom, tzw. Czerwona Pomoc. Na działalność tejże organizacji policja patrzyła chyba przez palce. Nie przypominam sobie ażeby kogoś za to aresztowano. Organizacja ta w jakimś stopniu musiała być związana i popierana przez Polską Ligę Obrony Praw Człowieka której przewodniczyła Stefania Sempołowska, znana polska pisarka. Jej przedstawicielką w Drohobyczu była nasza znajoma, S.R. posiadaczka legitymacji wystawionej przez tą Ligę, z podpisem Sempołowskiej, na ogół honorowaną przez ówczesne władze. Od czasu do czasu zbierano pieniądze na cele tej organizacji. Dawcami na ogół byli wspomniani sympatycy. Na tym się chyba nie kończyło. Możliwe, że jakieś tam fundusze płynęły również ze wschodu albo z innych państw gdzie partie komunistyczne były legalne.

Komunistyczną bibułę i literaturę propagandową na cieniutkim papierze bibułkowym widocznie przemycano ze wschodu. Niektóre, prymitywne druki i ulotki drukowano również w Polsce w zaimprovizowanych, nielegalnych drukarniach. Z okazji 1-go Maja partia urządziła tzw. nielegalne masówki. Dla wieców i przemarszów przez miasto wykorzystywano uroczystości i zgromadzenia organizowane przez P.P.S. i Z.Z.Z. (Związek Związków Zawodowych). Przed 1-ym Maja policja dokonywała prewencyjne areszty wśród aktywistów partyjnych. W tydzień po tym wypuszczano ich.

O nielegalnej O.U.N.- Organizacji Ukraińskich Macjonalistów wiele powiedzieć nie mogę. Tylko tyle wiem, że była bardzo skonsolidowana, zdyscyplinowana, miała swoje bojówki służące do rozbijania wieców komunistycznych. Była to organizacja militancka, wyznająca terror indywidualny w stosunku do wadz polskich jak i do swoich komunistycznych przeciwników. Do więzień sadzano ich na równi z komunistami. W więzieniach separowali się od komunistów,

żyjąc tam swoim, odrębnym życiem. Byli czynnie popierani przez kler i cerkiew greckokatolicką. Do Polaków pałali ślełą nienawiścią, tak samo jak i do Żydów. Po polsku nie chcieli mówić i na wszelkie pytania odpowiadali tylko po ukraińsku.

Kilka zdań o miejscowym przemyśle i handlu. Jeżeli o przemysł chodzi, to przede wszystkim dominowały rafinerie - polski "POLMIN i" przyległy "DROS" i żydowska "GALICJA" i "NAFTA". O obu już nieco wspomniałem. Polmin na ogół miał swoje, wewnątrz fabryczne, fachowe grupy dla utrzymywania ruchu i dokonywania remontów i napraw bez potrzeby korzystania z usług pozafabrycznych kontraktorów. Galicja natomiast w dużej mierze korzystała z usług pozafabrycznych załóg naprawczych. W tym celu powstało swego rodzaju "konsorcjum" Brenner-Leber-Wołosiański.

Leber i Brenner to byli żydowscy przedsiębiorcy zatrudniający głównie Żydów. Trzeci wspólnik, Wołosiański, podobno był spolszczonym Ukraińcem. Niezwykle porządny człowiek, czego dowodem było późniejsze jego zachowanie w czasie niemieckiej okupacji. Miał syna, Iżka. Niebywale szlachetny i odważny człowiek. W czasie okupacji, w latach 41-44 urządził kryjówkę w piwnicy domu gdzie mieszkał i tam przechowywał przeszło 30-tu Żydów. Mieszkanie to było na terenie warsztatu Seiferta przy ulicy Szaszkiewicza. Pan Iżku zajmował parter. Na piętrze mieszkanie zajmowali funkcjonariusze Gestapo, co w danym wypadku dawało swojego rodzaju "glejt" bezpieczeństwa. Jak on to robił, dlaczego i za co - niemożliwe jest do wytłumaczenia. W każdym razie nie dla pieniędzy. Pieniądze na zakup produktów żywnościowych pochodziły od ukrywających się. Byli tam bogacze dysponujący walutą i kosztownościami, ale byli też ludzie niezamożni którzy wiele a może i niczego nie mieli. Pan Iżku urządził coś w rodzaju "komuny" - dla wszystkich po równo, niezależnie od tego jaki był jego wkład. Jego "zyskiem" była choroba, której się nabawił i na którą po wojnie umarł. Za swoją szlachetność i bezinteresowność, kilka lat temu, pośmiertnie "Jad Waszem" nadał mu miano "Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata". Żona jego przyjechała z Kanady do Jerozolimy ażeby za niego odebrać ten zaszczytny tytuł i Dyplom Uznania i posadzić drzewko w Alei Zsłużonych dla Narodu Żydowskiego. Jak mu się uratowali przez niego ludzie odwdzięczyli po wojnie, nie wszyscy oczywiście, to inna sprawa, o której jeszcze będzie mowa.

Oprócz wspomnianego wyżej "konsorcjum" w przedwojennym Drohobyczu, był jeszcze warsztat ślusarski N.Seiferta. Głównym wyrobem tego warsztatu były tzw. "ryflowane" rolety do wystaw sklepowych. Zachowały się one jeszcze długi czas po wojnie. Bywając w różnych polskich miastach po wojnie można było napotkać takie właśnie rolety z tabliczką firmową N.Seifert. Pan Seifert miał dwóch synów - Maksa i Lunia, absolwentów drohobyckiej szkoły technicznej. Maks, jeszcze przed wojną, a Lunio trochę później bo dopiero za Sowietów w 40-ym roku. U Seiferta pracowało kilku moich kolegów, takich jak ja terminatorów branży ślusarskiej.

Od rolet był jeszcze drugi warsztat ślusarski L.Russa, u którego ja uczyłem się zawodu ślusarskiego. Rolety robione u Russa były bardziej sofistykowane i droższe od rolet Seiferta.

Istniał też stosunkowo duży warsztat kotlarski Kupfermana. Wyrabiono tam duże zbiorniki dla przemysłu naftowego. Praca była niezwykle ciężka. Wszystko było nitowane bo w tym czasie technika spawalnicza była jeszcze w powijakach i do Drohobycza dotarła dużo później.

Na ulicy Stryjskiej, obok młyna Sasyka był warsztat dla obróbki skrawaniem. Tam były tokarki, shepingi, strugarki itp. Właścicielem był pan Minch. Dostać się tam do terminu, było marzeniem ściętej głowy. Nie jeden by chciał.

Na ulicy Truskawieckiej, niedaleko katolickiego cmentarza był warsztat samochodowy Hirta. Również tam się dostać było bardzo trudno. Mój najstarszy brat próbował coś dla mnie, ale nie wyszło.

Oprócz tych, jak mi się wydaje ważniejszych warsztatów które zapamiętałem, była jeszcze cała kupa mniejszych, czyli jak ich dzisiaj nazywają "chaperów". Pracowali bardzo ciężko i z ledwością wiązali koniec z końcem. Jeżeli o tzw. przemysł lekki i usługowy chodzi,

dużo było zakładów krawieckich, szewskich, rymarskich, blacharskich, fryzjerskich i różnych innych. Krawcy i fryzjerzy mieli nawet swoje odrębne związki zawodowe. Krawiecki związek nazywał się "Igła". Było też kilka piekarń. Najważniejsze to były piakarnia F.Held, żydowska i piekarnia W.Kraft, polska. Z młynów to pamiętam tylko ten mechaniczny, Sasyka na ulicy Stryjskiej, naprzeciw Nadleśnictwa.

Za to sklepów było do licha. Można powiedzieć, że handel w swojej przeważającej większości był w rękach żydowskich. Dotyczyło to zarówno ekskluzywnych sklepów w Rynku i przyległych ulicach, jak też małych sklepików tzw. handlu towarami mieszanymi. Polskich sklepów było mało, chyba że te masarskie gdzie sprzedawano mięso wieprzowe i rzeczywiście dobre wędliny. Wspomnieć tylko wędliniarnie Pycia i Riehla na ulicy Piłsudskiego. Rozkoszne zapachy z tych sklepów pachniały aż na ulicę. Była też galeria sklepów masarskich w starej Hali Targowej. Daleko im było do wyrobów Pycia i Riehla. W tych sklepach w wędlinę zaopatrywała się ta niezamożna, nie-żydowska klientela, było tam dużo taniej. W branży masarskiej znane było nazwisko braci Milan.

Do tych większych i eleganckich sklepów przyjmowano na naukę subiektów. Marzeniem takiego subiekta było, ażeby kiedyś w przyszłości otworzyć sobie swój własny sklep. W ich marzeniach były bogate panny z posagiem., albo też niespodziewane spadki lub zapisy majątkowe. Byli też tacy, którym marzyły się niezamężne córki właściciela. Naiwność nigdy nie zna granic, lecz co to szkodziło trochę pomarzyć ? Przecież to nie kosztuje. Ta kategoria pracowników również miała swój odrębny związek zawodowy z szumną, pretensjonalną nazwą: Związek Zawodowy Pracowników Handlowych i Biurowych.

Na Małym rynku była duża Hala Targowa a w niej cała kupa sklepów bławatnych i straganów. Wszystkie one były w 100 procentach w rękach żydowskich.

Swego rodzaju kuriozum albo eksperymentem były próby, bardzo nawet udane, zakładanie ukraińskich ośrodków handlowych. Co zapamiętałem, to Maśosojuż z doskonałymi wyrobami mlecznymi, Miasosojuż z wyrobami mięsnymi najwyższej jakości. W sklepach tych zawsze aż pachniało świeżością i czystością. Sklepy te miały również powodzenie u żydowskiej klienteli, tej nieprzestrzegającej zasad koszerności. W tymże sektorze ukraińskim był duży sklep - "Narodna Torhivla". Rodzaj dzisiejszego supermarketu. Można tam było kupić wszystko na miejscu, za jednym zamachem. Ceny były stałe, obsługa była fachowa i grzeczna. Nie-Ukraińców we wspomnianych ośrodkach handlowych, nie było. Gdzie i od kogo się tego wszystkiego nauczyli ?

Czy w Drohobyczu byli złodzieje ? Jeżeli coś niecoś o tym zapamiętałem, to tylko o żydowskich złodziejach. Owszem, byli tacy. Nie byli to złodzieje zdolni do "mokrej" roboty. Nawet między sobą, w konfliktowych sprawach, i to dochodzili do ładu, nie uciekając się do brutalnych rozwiązań a tym bardziej do użycia noża. Uciekanie się do tzw. "dintojry" (pośrednictwo trzeciej osoby, zazwyczaj pobożnego Żyda z brodą i pejsami) nie było im obce. Swój honor to mieli i powzięte postanowienia z reguły dotrzymywali. Byli tzw. "doliniarze" czyli kieszonkowcy, zaliczani do elity złodziejskiej. Na ogół przyzwoicie ubrani, o dyskretnym nie rozbieganym spojrzeniu. Szukali frajerów którzy ich nie znali. Podobno byli też tacy, którzy operowali w pociągach międzynarodowych i nawet docierali do takich stolic jak Budapeszt i Bukareszt. Ludzi, którzy ich znali, nie ruszali; przy zetknięciu się z nimi robili do nich porozumiewawcze "perskie oko". Mimo tego, po takim zetknięciu, ci ludzie instyktownie macali swoją kieszeń w której trzymali swój portfel; tak na wszelki wypadek; strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Byli złodzieje - włamywacze operujący w bogatych dzielnicach, co nie znaczy, że nie próbowali szczęścia u zamożniejszych mieszkańców i dorobkiewiczów którzy z jakichś tam powodów nie opuścili naszej dzielnicy.

Byli złodzieje, których polem działania były furmanki chłopskie, przed i po spieniężeniu swoich towarów. Szukali nie tylko pieniędzy w zawiniątkach schowanych głęboko na dnie furmanki. Nie gardzili też nie sprzedanym towarem, albo rzeczami zakupionymi za pieniądze

uzyskane ze sprzedaży swego towaru. Na wszystko to już z góry mieli swoich nabywców. Dostyc prymitywny rodzaj paserstwa. Operacyjnym dniem był poniedziałek, targowy dzień w naszym mieście.

Pokażna część z nich była statecznymi ojcami rodzin. W piątkowe dni chodzili do łaźni przygotowując się do powitania Soboty. W piątkowe wieczory ich żony zapalały świeczki i w cichości, przysłaniając oczy rękami, prosiły Boga o łaskawość i miłosierdzie dla ich rodzin; po tym wszyscy zasiadali do uroczystej, piątkowej kolacji - tak jak w każdym innym, żydowskim domu. W Sobotę chodzili do bóżnicy, czasem z dziećmi i modlili się razem z innymi bogobojnymi Żydami. Biedaków na ogół nie obrabiali, bo i nie było z czego i nie było honorowo. Nie zapominali, że sami wywodzą się z tego środowiska. Twierdzili, że głównym powodem uprawiania tego "zawodu" była niesprawiedliwość społeczną którą na swój sposób próbowali korygować. Obiecywali sobie i otoczeniu, że po nastaniu ustroju sprawiedliwości społecznej zerwą ze starym życiem i zaczną żyć po nowemu - uczciwie i bogobojnie.

I w końcu taki ustrój nastał. Przyniosła go na swoich bagnietach Armia Sowiecka, w końcu września 1939-go roku, wraz ze swoimi czerwonymi sztandarami z wypisanymi na nich nowymi hasłami sprawiedliwości społecznej. No i co ? Jakie rozczarowanie !

Opowiadał mi jeden gość, pracownik nowopowstałej Rady Miejskiej, Sowietu, który pracował z jednym takim "nawróconym". Po pewnych doświadczeniach praktycznych z życia codziennego, ten mu powiedział: "Słuchaj, ja przecież byłem złodziejem z dziada, pradziada, ale czegoś takiego co oni - ta przywieziona ze wschodu podpora nowego ustroju mającego być wzorem sprawiedliwości społecznej - wyrabiają, opisać się nie da; kradną, rabują w żywe oczy, bez wstydu, pod przykrywką swoich zawieszonych ustaw interpretowanych przez nich samych, na swoją i swoich przełożonych korzyść, z uszczerbkiem dla szerokiej ludności". Jakie wnioski wyciągnął ten były "uczciwy złodziej" w obliczu tego nieuczciwego, skorumpowanego i łapowniczego systemu - pojęcia nie mam.

Czy istniała w tym naszym mieście prostytutka ? Oczywiście, że istniała. Z tego na ile nasłuchiwałem się od starszych z tym swoim wyczulonym uchem, były to kobiety a właściwie dziewczyny, czasem z chłopskich wiosek którym zachciało się zakosztować rozkoszy miastowej miłości i przy tym zarobić jeszcze trochę grosza. W ten lub podobny sposób wpadały w sieci zastawione przez sutenerów i alfonsów. Po tym wchodziły w rutynę, już bez miłości i rozkoszy; tylko dla pieniędzy. I stąd już prosto wiodła droga z której nie było powrotu.

Były również kobiety lub dziewczyny o zawiedzonej miłości, chcące wszystkim zrobić na złość, zemścić się za doznane krzywdy. Była też kategoria kobiet zamężnych, z rodziną która chciała sobie nieco uzupełnić swój budżet rodzinny. Tego rodzaju kobiety, jeżeli miały silny charakter, to czasem, ewentualnie mogły wyjść z tego i powrócić do normalnego życia. Najczęściej bywało odwrotnie. Grzęzło się coraz bardziej, bez drogi powrotu. Rodzina się rozpadła i to był początek końca.

Do tej samej kategorii kobiet zamężnych, z rodziną możnaby zaliczyć takie, których mąż podlec, nierób, leń, wykolejeniec zmuszał, wysyłał na ulicę, na zarobek. Koniec jak wyżej.

Zwykle inną kategorię stanowiły kobiety - erotomanki. Takie szukały zadźwignienia erotycznego w częstej zmianie partnerów. Początkowo bez pieniędzy, później za pieniądze. Koniec takich kobiet nieodmiennie bywał tragiczny.

Narodowościowo, ten rodzaj "zawodu" obejmował wszystkie trzy grupy : Polki, Żydówki, Ukrainki (raczej rzadko). Istniał rodzaj czerwonych (?) książeczek zdrowia. Kobiety te musiały przechodzić okresowe, podobno przykre badania. Mimo to zdarzały się wypadki zarażania - rzerzączka czyli tryper, rzadziej syfisy lub lues ale to raczej w tzw. wyższych sferach. Antybiotyków, penicyliny i innych "szlachetnych lekarstw" wtedy nie znano. Niejednokrotnie bywało to powodem okropnych tragedii rodzinnych. Głowa rodziny robił sobie czasem taki "skok w bok" z nefartownym skutkiem. Pierwszą ofiarą w rodzinie, w sensie fizycznym, była matka; no a dzieci, szczególnie te starsze ? No cóż, zdarzało się, tylko jak z tym można było dalej żyć ? Niektórzy mówią, że nawet do chorób trzeba się przyzwyczaić, potem polubić i wtedy łatwiej

jest z tym żyć. Czy aby dotyczyło to również chorób wenerycznych ? Najlepiej chyba wiedzieli o tym lekarze którzy z tego żyli i to nieźle.

Domów publicznych czyli burdeli, w pełnym tego słowa znaczeniu, zdaje się nie było. Były natomiast pokoje wynajmowane przez niektóre rodziny dla uzupełnienia budżetów domowych.

"Panny" te urzędowały na ulicach: Stryjskiej, Borysławskiej, koło hotelu Dependance, w okolicy Parku Miejskiego od strony Truskawieckiej. Potencjalni goście tam przychodzili, umawiali się co do ceny i szli na te wynajęte kwatery. Dla gości niezamożnych, ubogich w pieniądze były facetki uprawiające swój proceder za "zniżkową" cenę, na parkowych ławkach; oczywiście w letnie, ciepłe i bezdeszczowe noce. A co było w zimie ? Nie wiem.

Była taka jedna, Żydówka, bardzo przystojna blond-szatynka o niebieskich oczach i kształtnym nie-żydowskim nosem. Nazywała się Regina i mieszkała na ulicy Brudnej. Opowiadano, że jej klientami czasem bywali oficerowie nie-Żydzi oczywiście. Jej stałym mężem był złodziej - doliniarz. Jemu jej "fach" nie przeszkadzał i viceversa. Ważne, że zarabiała. Na Łanie jedna pani ze stateczną rodziną wynajmowała pokój w swoim domku. Jedną z lokatorek była niejaka Nusia, blondynka, wiejska dziewczucha przy kości. Jej stałym klientem był nasz sąsiad, kaleka o kulach. Na ogół, w piątkowe wieczory po kolacji, wyfraczony "drałował" do niej. Wszyscy napotkani, z góry wiedzieli dokąd on idzie. Ona widocznie dobrze sobie z nim radziła. On z kolei dobrze jej płacił.

Czy byli w Drohobyczu swaci ? Byli, ale mało. Poznać było takiego faceta po meloniku i parasolu który zawsze nosił ze sobą, przy każdej pogodzie. Byli tacy którzy mieli kontakty międzymiastowe. Podobno byli też tacy którzy potrafili kojarzyć pary z różnych kontynentów; przeważnie z Ameryki, ale to kosztowało dużo drożej.

Czy ludzie w tamtych czasach dużo chorowali ? Starzy ludzie pamiętający tamte czasy twierdzili, że takich chorób jak dzisiaj wtedy nie było. Na co więc ludzie umierali i to w stosunkowo (jak na dzisiejsze czasy) młodym wieku 50-55 lat, w porównaniu z dzisiejszą przeciętną 74-letnią ? Wtedy na co człowiek umarł, czy chorował odpowiedź brzmiała: skądże, zdrow był jak ryba; po prostu zrobiło mu się niedobrze, zemdlął i nie mogli się go docucić. Tak ludzie myśleli i nie tylko myśleli, ale byli przekonani o tym. Przecież diagnostyka i leki nie były takie jak dzisiaj. Przeciętni ludzie nie mogli sobie pozwolić na długie chorowanie; po prostu nie było ich na to stać; u nich wszystko musiało iść galopem - albo tu, albo tam. Przynależność do Kasy Chorych stanowiła duży luksus. Pracodawcy zaś niechętnie ubezpieczali swoich pracowników, chociaż było to sprzeczne z prawem. Pracodawca, który miał oficjalny interes i płacił podatki, był obowiązany ubezpieczać swoich pracowników. Był, był...ale robił to rzadko. Co innego duże firmy, takie jak Polmin, Galicja itp. Prywatne wizyty lekarza a szczególności wizyty domowe kosztowały dużo i mało kogo było na nie stać. Lekarstwa były w aptece robione według recepty, indywidualnie dla każdego przypadku, nie tak jak dzisiaj gdzie wszystko jest gotowe, stabletyzowane albo płynne w zamkniętych flaszeczkach. Ponadto były one drogie. Ludzie się więc leczyli domowymi, babskimi środkami - bańki, pijawki i jakieś tam liście i trawki. Jedna pani mówiła drugiej i tak się wzajemnie słuchały. W narodzie mówiono, że pomagało to jak martwemu bańki.

Czy istniał tzw. świat podziemny ? Może - gdzieś tam w Warszawie, Krakowie i innych wielkich miastach. W naszym Drohobyczu; w naszych sferach mało kto wiedział co to w ogóle znaczy. Po prostu za duże nieszczęście jak na taki mały Drohobycz.

Chciałbym jednak powrócić do moich osobistych, bezpośrednich przeżyć. Jak już wspomniałem na poprzednich stronach tych zapisów, urodziłem się w grudniu 1924-ym roku, w tymże domu przy ulicy Sobieskiego w którym mieszkałem z rodzicami, aż do 1939-go roku i później - łącznie do 1941-go roku. Przed szkołą oddano mnie do tzw. chederu na naukę Tory. Mogłem wtedy mieć nie więcej jak 5 lat. Razem było nas 6-ioro - 7-ioro dzieci. Prowadził "szkółkę" Rebe, wcale nie stary Żyd, z brodą i pejsami. Stale chodził ze skórzonym kańczugiem służącym mu nie tyle do bicia ile pasywnego wymuszania posłuszeństwa. Do dzieci

zamożniejszych rodziców Rebe przychodził do domu, oczywiście bez kańczuga i tam im dawał lekcje Tory. Lekcje polegały na tym, że Rebe czytał na głos i wszystkie dzieci głośno za nim powtarzały. Mieszkał z żoną i dwojgiem swoich dzieci w tym samym pomieszczeniu gdzie nauczał. Pewnego dnia "pokłóciłem" się, wyszedłem i na pożegnanie wysmarowałem mu błotem jedyne okno. Więcej tam nie wróciłem i na tym skończyła się moja "edukacja" religijna.

Do szkoły powszechnej zapisano mnie stosunkowo wcześniej, w 1930-ym roku, nie mając skończonych 6 lat. Do czerwonej szkoły (już przed tym wspomnianej), bo było najbliżej naszego domu. Był to obszerny, 3-y piętrowy budynek z oddzielnym wejściem do żeńskiej części. Stróżem w naszej szkole, z dużymi kompetencjami, był pan Diuk, surowy człowiek z małą przystryganą bródką i wąsami. Razem z rodziną mieszkał w suterenie budynku. Miał dorosłego syna, pół niemego który czasem wyręczał ojca. Dyrektorem naszej (męskiej) szkoły był tysi pan w średnim wieku; nazwiska nie pamiętam.

Nauczyciele, zwracano się do nich per "panie profesorze", byli na ogół dobrymi ludźmi traktującymi swój zawód poważnie i z oddaniem. Byli też tacy którzy mieli trochę "bzika", każdy na innym tle. Należeli do nich nauczyciele Dumin (zdaje się Ukrainiec), Żelechowski, Młynarz, Grynda. Dumin miał "chyzia" na punkcie swojego psa, Grynda opowiadał nam często historyjki ze swoich legionowych dziejów, Młynarz uczył nas rachunków i robót ręcznych w warsztacie stolarskim; te roboty ręczne bardziej nam pasowały aniżeli rachunki. Wszystkim nauczycielom "przyszywano" przezwisko o którym oni musieli wiedzieć, albo też udawali, że nie wiedzą. To samo odnosiło się do nauczycielek.

W naszej klasie była połowa Żydów i Polaków; Ukraińców raczej nie było. Naszym gospodrzem klasy był pana Braun (trochę dziwne nazwisko jak na Polaka; w późniejszych latach po 33-im roku przywodziło nieprzyjemne skojarzenia). Uczył nas różnych przedmiotów a przede wszystkim gimnastyki i śpiewu. To chyba on wprowadził do naszej szkoły grę "Dwa ognie". Podzielił nas na dwie oddzielne grupy: Polaków i Żydów. Dlaczego ? Kiedyś nawet badał nas na temat podziału ławek na żydowskie i polskie. Leaderem naszej sportowej grupy był chłopak, którego rodzice przyjechali do Polski z Niemiec poprzez Francję. Początkowo słowa po polsku nie znał, ale za to był świetnym sportowcem i to pomagało w uzyskaniu stopni w innych przedmiotach. Później zrobił karierę jako zawodowy piłkarz. Po wojnie, już w Izraelu, był nawet trenerem izraelskiej reprezentacji piłkarskiej. W naszej klasie istniał wyraźny podział nie tylko narodowościowy, ale też i socjalny: ci zamożni, w dużej części Żydzi, korzystali z pewnych przywilei i byli faworowani, bo zawsze mieli okazję ażeby nauczycielom sprawiać podarunki. Bywały uroczyste "zборы", deklarowano wierszyki i wręczno podarunki kwitowane pocałunkiem w główkę. Mamy tych maminsyneków były w siódmym niebie. Moja mama nigdy w takich "zborach" nie uczestniczyła. Bo też i po co ? Ani nie byłem tak ubrany jak tamci w ładnych, na miarę sztych ubrankach i wyczyszczonych buciczkach, ani też nie mogłem się pochwalić jakimiś specjalnymi sukcesami w nauce. To w co ja byłem ubrany zawsze było "nicowane" ze starego i o większych wymiarach, ażeby na dłużej starczyło. Trzeba przyznać, że pomieszczenia klasowe były duże i przestronne z wysokimi oknami dającymi dużo światła. Stanowisko nauczyciela było na takim stopniu - podwyższeniu skąd łatwiej mu było obserwować całą klasę. Co lepsi uczniowie siedzieli w pierwszych rzędach. Ci gorsi, w tej liczbie i ja zajmowali ostatnie ławki. Na czołowej ścianie wisały portrety Marszałka Piłsudskiego, Prezydenta Mościckiego, wybitnego uczonego - chemika. Nad nim wisił Orzeł Polski z koroną, symbol polskości, a nad tym wszystkim - Matka Boska z Dzieciątkiem na rękach, i jeszcze wyżej - krzyż z rozpiętym na nim Synem Bożym. Codziennie rano, przed rozpoczęciem lekcji każdy nauczyciel miał obowiązek przeprowadzać chóralną modlitwę poranną, w cisie której my, nie-katolicy staliśmy niemalże na baczność, grzecznie nie wierząc się i nie puszczając pary z ust.

Pod względem "mocarności", siły były na ogół wyrównane. Mieliśmy swojego herszta - przywódcę, nie tyle fizycznie okazałego ile o dużej pewności siebie i chucpie. Był to repetant, trochę od nas starszy. Od czasu do czasu wynikały jakieś utarczki i kontrowersje, ale tylko słowne. Jakoś się z tym żyło i to bez zbytecznego strachu z naszej strony. W każdym razie interwencje z zewnątrz, czy to policji, czy też innych czynników nie były konieczne.

Dla nauki religii był katolicki ksiądz, a dla religii Mojżeszowej świecki nauczyciel tego przedmiotu, pan Barak. Po jego śmierci przyszedł nowy nauczyciel, również świecki, pan Kestenbaum, a propos za późniejszych sowieckich czasów był dosyć ważną figurą w Szkole Technicznej, bo aż przewodniczącym rady pedagogicznej. Cóż, zmieniły się czasy a z nimi i niektórzy ludzie.

Lekcje religii były prowadzone oddzielnie. My, Żydzi przechodziliśmy do innej klasy, zaś katolicy z tej klasy przychodzili do nas. Po dzwonku wszystko wracało do poprzedniego stanu.

W czasie przerwy ksiądz spacerował po korytarzu, przeważnie z nauczycielkami. Wszyscy przechodzący uczniowie całowali go w rękę. Takich co się "zapominali" pan ksiądz przyciągał swoją laską z zaokrągloną rączką przypominając im o spełnieniu religijnej powinności.

W szkole urzędowała lekarka szkolna, doktor Reiterówna, panna, zdaje się, że Żydówka. Od czasu do czasu przechodziliśmy okresowe badania, również i szczepienia. Po 6-iej klasie ci zamożniejsi opuszczali szkołę i przechodzili do gimnazjum. Wszyscy inni, w tej liczbie i ja kontynuowaliśmy aż do ukończenia 7-iej klasy.

Ja nie bez trudności "przepchałem" jakoś te 7 klas bez repetowania, a już samo to w moim wypadku można było uważać za sukces. Szczerze mówiąc, ja z tej mojej szkoły powszechnej wiele nie wyniosłem. Chyba tylko tyle, że nauczyłem się dobrze czytać i pisać. Z rachunków byłem kompletny neptek. Do nikogo o to pretensji nie miałem. Na żadną pomoc w domu nie mogłem liczyć. Czy mogłem kogoś o to winić? Nie wydaje mi się. Takie były moje szczególne warunki. Czym sam przed spbą muszę się pochwalić to, że stosunkowo dużo czytałem, po prostu połykałem wszystko to co starsze rodzeństwo przynosiło do domu. Te wszystkie moje niedostatki "edukacyjne" musiałem później nadrobić, a przychodziło mi to wcale nie łatwo.

Jeszcze w szkole powszechnej wstąpiłem do organizacji Szomrowej. Tam też była biblioteka z której skwapliwie i pilnie korzystałem. Czy z tej powszechnej szkoły a szczególnie z mojej klasy wyniosłem jakieś przyjaźnie? Chyba nie. Przyjaźnie były, tylko później, pozaszkolne.

Po ukończeniu szkoły powszechnej miałem 12 lat. Stanąłem przed problemem - co z sobą zrobić? Jeszcze większym problemem to było dla mojej mamy. Ona to najlepiej rozumiała, że w życiu trzeba czymś być, coś umieć ażeby uczciwie zarobić swój chleb powszedni.

Wykorzystując jakąś znajomość, udało się mnie ulokować w niedużym sklepie galanteryjnym na Małym Rynku. Miałem się tam uczyć na subiekta. Właściciel zaliczał się do starszawych kawalerów, mając na utrzymaniu matkę i starszą od niego siostrę. W tej sytuacji i z takim balastem miał zapewnione dożgonne kawalerstwo. Największy ruch w tym mikro-sklepie był w poniedziałkowy dzień targowy. Kupującymi byli przeważnie chłopci, już po utargu i przed powrotem do domu. Z miejscowych mieszkańców mało kto do takiego sklepu zachodził. Sam właściciel na takich klientów nie liczył. Tam się napatrzyłem jak to się z chłopami handluje. Właściciel wymyślił sobie rodzaj szyfru - kodu opartego na nazwisku CZAJNOWSKI. Każda litera miała swój odpowiednik cyfrowy od 1 do 10. Dla przykładu C=1, Z=2, A=3 itak dalej do K=9 i I=0. Dla przykładu CAO równało się 136 groszy (1 złoty i 36 groszy) itd. Na każdym pudełku czy paczce figurowała zaszyfrowana cena własna. Kupującemu mówiło się cenę dwu albo trzykrotnie wyższą. Kupujący reagował na to (po ukraińsku): ten kupiec co połowę albo trzecinę daje. Zaczynały się targi, przysięgi, zaklinania i w końcu wychodzono na finalną cenę która musiała być wyższa od zakodowanej; bo jakże mogło być inaczej? Stałych cen na Małym Rynku nie bywało. Takowe czasami bywały, ale w sklepach na Wielkim Rynku, a i to nie zawsze.

Na obiad ten mój właściciel nie wychodził i sklepu nie zamykał. Ja mu codziennie z domu przynosiłem obiad trzydaniowy, w takiej specjalnej "menażce". Czasem po drodze, z ciekawości zaglądałem. Ślinka mi ciekła. Wieczorem, po zamknięciu sklepu, menażkę zabierał do domu. Następnego wszystko się powtarzało. Z czasem weszło to w rutynę. Samego mnie w sklepie nie zostawiał. Jeżeli już koniecznie musiał wyjść za potrzebą fizjologiczną, zamykał swoją szufladę i kazał mi, w przypadku gdyby się jakiś klient zjawił, że właściciel już jest w drodze powrotnej. Co do zamykania szuflady, to była to ogólnie przyjęta zasada. W handlu sentymentów nie ma. Nie tylko obcym, ale i swoim i to w jeszcze większym stopniu się nie dowierza. W sobotę i w niedzielę sklep był zamknięty. Płacił mi 10 złotych miesięcznie. Tak od razu, gotówką, "z kamizelki", jak się mówiło. Bez żadnego biurokratycznego papierka. Praw żadnych nie miałem. Do Kasy Chorych mnie nie zapisywał. Jednym słowem to on robił łaskę i to nie tyle mnie ile mojej mamie. Płacił mi w końcu miesiąca, brzęczącą monetą. Wieczorem odnosiłem otrzymane pieniądze mamie. Nie mogę sobie przypomnieć czy coś mi zostawało na kieszonkowe. Przecież papierosów nie paliłem, wódki nie piłem, na dziewczynki nie chodziłem bo byłem jeszcze za mały, więc niby na co miałyby mi być potrzebne pieniądze? Wikt i opierunek miałem w domu za darmo. W ten sposób na ogół rozumowało większość rodziców. Te parę groszy na kino jakoś wykombinowywałem. Jeszcze przed pracą w tym sklepie udało mi się trochę zarobić na zbieraniu szmelcu i szmat, malowaniu bramy wejściowej na podwórzu innych usługach świadczonych starszemu rodzeństwu jak czyszczenie butów i czegoś jeszcze w tym rodzaju.

W Purimowe święto (żydowski karnawał) przebieraliśmy się z kolegą i chodzili po "kolędzie" po żydowskich domach. W ten sposób uzbieraliśmy trochę grosza w zamożniejszych domach. W naszej dzielnicy sukcesami poszczycić się nie mogliśmy, bo tutaj ludzie do dających się nie zaliczali, chyba żeśmy się demaskowali u krewnych i bliższych znajomych i wtedy nam coś odpalali. Pamiętam, że jednego roku, po znojnym, całodziennym trudzie udało nam się uzbierać aż po 2 złote na łebka. Dwa złote wtedy to był nielichy pieniądz. Mojemu koledze, bardziej zamożnemu rodzice nie pozwalali na tego rodzaju "żebractwo", przeklinali mnie i zabraniali się ze mną kolegować. On jednak nie słuchał i trzymał się mnie jak wesz kożucha.

Później już tego nie robiłem. Nie wypadało. Byłem przecież człowiekiem pracy i zarabiałem pieniądze (pożal się Boże). Sam się nad sobą śmiałem. Handel coraz bardziej ppodupadał i mój właściciel doszedł do wniosku, że przy tej antykoniunkturze będzie sobie mógł poradzić beze mnie. Wyplacił mi co się należało i oznajmił, żebym więcej do pracy nie przychodził. Cóż, jego sklep, jego wola. I tak, pierwszy raz w moim życiu zostałem bezrobotny. Miałem wtedy 13-cie lat.

Mama bardzo się zmartwiła i zaczęła się zastanawiać co ze mną zrobić. Koniecznie chciała, ażebym się uczył fryzjerstwa. W jej pojęciu to był zawód czysty (?) z przyszłościowymi (?) perspektywami. I jeszcze jedna rzecz godna uwagi - w czasie terminowania (nauki zawodu) dostaje się od gości napiwki (tringeld) za oczyszczenie i podanie palta. Mama już nawet zdążyła porozmawiać z właścicielem, panem Inslem, i ten wyraził zgodę. W każdym razie jednak kazał mi najpierw przyprowadzić aby mi się przyglądnać. Zakład pana Insla był położony w dobrym punkcie, - w Rynku, w narożnej kamieniczce naprzeciw kościoła katolickiego. W domu tym mieszkał pośmiertnie uznany w Europie pisarz Bruno Schulz, o czym już wspomniałem. Klientela tego zakładu była bardzo dystygowana i to musiało gwarantować wysokie napiwki. Moja mama bardzo chciała, ale ja nie chciałem, w żadnym wypadku. Po prostu stanąłem okoniem i nie poddawałem się żadnym perswazjom i naciskom. W tym czasie zacząłem po trochę obrastać w tzw. piórka świadomości klasowej. Chciałem zostać robociarzem, pracującym fizycznie człowiekiem, tak jak niektórzy z moich kolegów w tym wieku. Kariera ufryzowanego lalusia wcale mi nie odpowiadała. Sam zacząłem się zastanawiać co ze sobą zrobić. Wtedy przypomniał mi się Moszku Szwarz, ślusarz, przyjaciel mojego najstarszego brata, o którym już przed tem wspomniałem. W każdy niemal wieczór przychodził do niego. Dyskusjom i wymienianiu poglądów politycznych nie było końca. Zwierzyłem się mojemu bratu z mojego dylematu i

porosiłem go ażeby ze Szwarcem porozmawiał na mój temat. Pomocna była moja bratowa, Frydka. Jej moja myśl przypadła do gustu.

W tym czasie rozbudowywała się Hala Targowa na Małym Rynku i potrzebna była duża ilość żaluzji- roletów sklepowych. Szwarz w jakimś tam sposób zdołał dostać to zamówienie i dla jego wykonania zawiązał spółkę z ledwo wtedy zipiącym warsztatem ślusarskim Leona Russa. W wyniku rozmowy z bratem, Szwarz się zgodził i kazał mi przyjść do roboty, bo już wykonanie zamówienia się zaczęło.

I tak zaczęła się moja kariera robotnicza. Zacząłem się uczyć zawodu ślusarskiego. Fizycznie nie bardzo jeszcze wydorostałem. Organizm mój nie dostosowywał się w dostatecznym stopniu do tego co jest konieczne dla jego rozwoju i to właśnie w wieku dorastania. Niewiele miałem sił, a praca była fizycznie ciężka. Mimo to byłem zadowolony. W końcu postawiłem na swoim.

O rodzinie pana Russa i jego warsztacie trochę już wspomniałem. Chciałbym jednak napisać nieco więcej. Warsztat Russa był jak gdyby moją Alma Mater w sensie przygotowania zawodowego. To trochę czego się tam nauczyłem przydało mi się później, na ewakuacji w Kirgizji. Pan Russ był w jakimś sensie barwną postacią. Jak opowiadano, w młodszych latach, przed I-szą wojną światową i trochę później, w początkach powstania Niepodległego Państwa Polskiego należał do S.D.K.P.L. - Socjal Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy - później przekształconą w K.P.P. - Komunistyczną Partię Polski. Z chwilą jak się ożenił i założył rodzinę, młodsze mrzonki wywietrzały mu z głowy. Został poważnym i statecznym człowiekiem, tak zresztą jak wielu podobnych jemu. Pan Russ był poniekąd artystą w swoim fachu. Słabość jego polegała na tym, że posiadał w sobie więcej artyzmu aniżeli żytki handlowej. Kiedyś był monopolistą w dziedzinie produkcji blaszanych puszek na datki K.K.L. - Keren Kajemet Le Israel (Fundusz Ziemi w Palestynie). Tego rodzaju puszki można było spotkać w setkach tysięcy domów żydowskich w różnych częściach ziemskiego globu. Zamawiała u niego te puszki Agencja Żydowska (Sochnut). Puszki się skończyły, przyszły rolety sklepowe. Również i w tej dziedzinie ujawniło się jego poczucie artyzmu. Rolety-żaluzje wyrabiane u Russa były bardziej sofistykowane, nowoczesne. Dla nowych budowli wypierały one rolety Seiferta. Musiały oczywiście być droższe, bo wymagały większą robociznę. Zamówień było mało. Urządzenia warsztatowe nie bardzo progresywne, ale wciąż pracosposobne stały beczynnym. I tak zaczął się upadek przedsiębiorstwa pana Russa, Dopiero zamówienie dla Hali Targowej przyniesione przez Szwarca, wniosło nowe życie w warsztat Russa. Szwarz był "werkführerem" czyli szefem produkcji. Miał pod sobą dwóch czeladników i nas, trzech terminatorów. Sam też pracował w warsztacie. Jednego z tej trójki terminatorów, Chemcia Wekslera, mojego kolegę szomrowego, ja przyprowadziłem. Ten drugi, oprócz mnie, był pobożny, z pejsami chowanymi za uszami; musiał być protegowanym pana Russa.

O żadnych ubraniach roboczych nie było mowy. Posiłków w dniach kiedy się pracowało nadgodziny też nie było. Pani majstrowa mieszkała nad warsztatem i nigdy, nawet na szklankę herbaty dla pracowników nie potrafiła się zdobyć. Nawet mydła do mycia rąk i to nie było. Do transportu z miasta profili konstrukcyjnych bardzo rzadko zamawiano furmankę. Bardzo często nosiliśmy je we dwójkę z miasta, prawie 3 kilometry i to po górzystej ulicy Borysławskiej. Ja dostawałem początkowo pół złotego na tydzień. Dopiero gdzieś blisko połowy 39-go roku (do wybuchu wojny) doszedłem do 2½ złotego na tydzień. Czeladnik dostawał 2½ złotego dziennie. Mnie to pod koniec zapisał nawet do Kasy Chorych. Od wtedy już mogłem zacząć chorować na koszt składek które za mnie płacił pan Russ.

W tym czasie, po raz pierwszy mama mi kupiła w sklepie ma miarę, nowe spodnie tzw. pumpy, marynarkę i buty, broń Boże nie pół czyli meszty, a pełne wysokie do kostek ażeby dobre były również na jesień i na zimę. Podeszwy były na skórze. Tato często je oglądał na ile już się "schodziły", zawsze przy tym "ochając". Buty na gumie wtedy były tylko dla najbiedniejszych. Kupowano je w sklepie BATA, a kosztowały dużo mniej aniżeli w zwykłych sklepach. Cóż, standart, masówka.

Jeden z czeladników to był starszy chłop, Ukrainiec spod drohobyckiej wsi, nazywał się Kowal. Ażeby zdążyć do roboty na 7-ą rano, musiał chyba wstawać o 3-iej w nocy, bo sama droga na piechotę zajmowała co najmniej 3 godziny. Komunikacji żadnej nie było, chyba jakaś przygodna furmanka. Mnie to brało prawie godzinę. Najbliżej miał ten niby czeladnik - trochę więcej niż terminator. Jemu to brało 40 minut, bo on mieszkał na ul. św.Jura. Matki nie miał, tylko ojca. Dostyc tępy, dlatego nie mógł się wyzwolić z terminatora i wejść w czeladniki. Pracował u Russa już dobrych kilka lat. Przy tym wszystkim był wcale wysokiego mniemania o sobie samym.

W pewnym okresie pojawił się nowy facet, były subiekt w sklepie bławatnym, kandydat na męża dla jednej z córek pana Russa. Nie wiem dlaczego tak znowu pragnął wyuczyć się zawodu ślusarskiego. Podobno tzw. towarzysz partyjny (jego przyszła, też była z tych). My, najmłodszy nie mieliśmy zaufania do niego. W rzeczywistości to takim nie był. Widocznie to wyczuwał i było mu trochę przykro wobec nas, a w szczególności wobec mnie, bo znał moich braci i moją siostrę; kiedyś go nawet widziałem u nas w domu. Pan majster, Szwarz, bywał w stosunku do nas, terminatorów czasem (nawet dość często) niemal okrutny. Miotał się, przeklinał, rzucał w nas czym popadło - jeżeli mu coś tam nie poszło w pracy albo posztykał się z panem Russem. Wydawałoby się taki niby towarzysz, wyznawca Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina i wszystkich innych świętych, a taki nieczuły na naszą terminatorską krzywdę. W domu się nigdy na niego nie skarżyłem; przecież sam sobie wybrałem ten los. W robocie zaciskałem zęby tak jak inni moi koledzy; bo cóż innego mogłem zrobić? Jak ognia bałem się by mnie nie odesłał do domu i kazał więcej nie przychodzić. Bo co bym wtedy robił?

Moi koledzy u Brenera i Lebera nie byli w lepszym położeniu. U Brenera na przykład, na początku tygodnia, w poniedziałek rano przy podziale rbót na cały tydzień - co, kto i dokąd - ten najmłodszy terminator, najbardziej zielony, otrzymywał przydział do pani majstrowej. Chodził z nią na zakupy, nosił koszałki, pomagał w domu przy różnych pomocniczych robotach. Tak trwało przez większą część pierwszego roku terminowania i dopiero po tym dopuszczano go do pierwszych, najbardziej pomocniczych robót w warsztacie.

Po pysku bili wszędzie i zawsze; z przyczyny, albo bez. Za pryncyp służyło twierdzenie, że jeżeli terminator z rana nie dostanie po mordzie, to cały dzień chodzi jak pijany. Więc wszyscy majstrowie to stosowali, z byle jakiego powodu, albo i bez; tak na wszelki wypadek. Najprzykrzejsze było to, że często korzystali z tego pryncypu dopiero co wyzwoleni czeladnicy - wczorajsi terminatorzy. Dobrze pamiętali te czasy upokorzenia kiedy sami byli ofiarami. Teraz lubili się zabawiać w "oprawców". Koniecznie chcieli wiedzieć jak to smakuje. Co trzeba przyznać, że robili to bez złości i poczucia sadyzmu. Przecież z tego się nie umierało. To przemijało i tego się zazwyczaj później nie pamiętało. Jeden z poważniejszych incydentów jaki ja miałem z tym moim majstrem, panem Szwarzem, zapamiętałem.

Była wtedy jakaś robota wymagająca kucia na gorąco. Nasypaliśmy koksu i rozpaliliśmy ogień w tzw. Fedelschmidze - palenisku (w tamtych czasach prawie całe nazewnictwo oparte było na niemieckiej terminologii) Mój kolega, Chemciu, kręcił korbę wentylatora zasilającego palenisko w powietrze. Ja stałem przy kowadle z młotem jako ten "młotobojec" i czekałem. Coś się tam nie łądziło i ogień był niedostateczny, ażeby doprowadzić tę część w ogniu do temperatury kucia. Mierzyło się to na oko, według koloru. Pan majster zaczął się wpierw denerwować, po tym wpadł w furię; porozrzucił żarzące się węgle po całym warsztacie i zaczął rzucać czym popadło, w każdego kto był w pobliżu i na widoku. Chemciu uciekł i gdzieś się schował. Ja nie zdążyłem i stanąłem za rurą piecyka na środku warsztatu z nadzieją, że mnie nie dostrzeże. On mnie jednak zobaczył, bo nikogo innego w pobliżu nie było, rzucił we mnie młotkiem, nie trafił, złapał "bukfel" - piłkę do cięcia żelaza- i puścił się do mnie, dopadł i trzepnął po żebrach. Poczulem ostry ból, oczy mi zaszczyłami (jednak byłem jeszcze prawie dzieckiem), złapałem moją bluzę i wyleciałem z warsztatu. Dzień miał się ku końcowi. Wróciłem do domu. Nawet się nie umyłem, nic nie jadłem i od razu zwałem się do łóżka. Mama podeszła i jak każda mama, od razu wyczuła, że coś zaszło. Zaczęła

mnie indagować coraz natarczywiej, ja jednak - jak dotąd - nie puszczałem farby. W końcu się załamałem i opowiedziałem wszystko, jak było. Mama nic nie mówiąc, zebrała się i poszła do brata, wiedząc, że pan majster na pewno tam będzie. Musiała mu zrobić mocną awanturę i to w obecności brata i bratowej. Jak mi później bratowa opowiadała, siedział on skruszony i nic nie mówił. Musiało na pewno być mu bardzo przykro.

Kilka dni nie chodziłem do roboty. Na któryś tam dzień zjawił się u mnie Chemciu, mój nwspółterminator i kolega mówiąc, że pan majster go przysłał i powiedział, że mam wrócić do roboty. Wróciłem. On jak gdyby nigdy nic, całe przedpołudnie milczał i wreszcie, z jakiegoś tam błahego powodu wybuchnął. Wyraźnie było widać, że przez cały czas dusiła go wściekłość. Zaczął krzyczeć i wyzywać, on mnie jeszcze nauczył, że do domu nie wnosi się tego co się w warsztacie dzieje i że on sam kiedyś będąc terminatorem też tę szkołę przechodził i nigdy nikomu się nie skarżył. Milczałem, bo cóż mogłem robić? I tak jakoś szło dalej.

Pewnego dnia, gdy montowaliśmy roletę w nowym sklepie Hirshorna i ja, leżąc na portalu wystawy sklepowej o wysokości $\frac{3}{4}$ metra miałem majstrowi pomagać w zamocowaniu osi gehajzy, znowu mu coś nie wyszło; zaczął się denerwować, krzyczeć i ze złości podsuwać mi pod zapaloną świeczkę. Widocznie musiało to też ruszyć pana Hirshorna bo wlaź na drabinę zwracając się do majstra: Panie Szwarz, co pan chce od chłopaka? Daj mu pan spokój. Niektórzy z obecnych klientów również zwrócili uwagę na te krzyki. Tak wtedy bywało. Wszystko trzeba było znieść i przecierpieć w milczeniu. Jak mi później opowiadał brat Szwarca, Abe, który też u niego uczył się ślusarki, również nie był on lepszy w stosunku do niego; często musiała interweniować matka ich obojga.

W związku z podanymi wyżej faktami, chcę przytoczyć pewną ciekawostkę. Jakies 25 lat później, po wojnie spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo w Warszawie u brata Szwarca, Abego. Ja byłem już wystudiowanym inżynierem, a pan majster dyrektorem jakiejś fabryki w Bielawie na Dolnym Śląsku. On ze swoją i ja z moją żoną. W towarzyskiej rozmowie wspomniano stare czasy. Między innymi wspomniałem też wyżej podane fakty, i to bez jakiegokolwiek żalu, goryczy czy pretensji. Tak sobie, jako ciekawostkę. Nagle poczułem, że popełniłem nietakt (?). Pan były majster, teraz dyrektor i jego żona zaczęli gorąco zaprzeczać, że to niemożliwe żeby kiedyś to miało miejsce; przecież on i muchy nie potrafiłby skrzywdzić, a co dopiero takiego sympatycznego (?) człowieka jak ja. Cóż mogłem powiedzieć? Zamilczałem i rozmowa zeszała na inne, dla nich nie drażliwe tematy. Ja naprawdę dzisiaj, z perspektywy czasu nie miałem o to pretensji. Takie były wtedy czasy i to było uważane za normalne. Tylko ludzie ograniczeni, mieli o to pretensje w późniejszych, dorosłych latach. To tak jakby mieć pretensje do nauczycieli z dziecinnych lat za rzekomo popełnione przez nich niesprawiedliwości. Nonsens. Niemądre to i głupie.

Wracając do tamtych czasów, przypominam sobie jak to zacząłem przychodzić do związku zawodowego metalowców. Miałem wtedy wszystkiego 14 lat. Lokal tego związku był w Domu Robotniczym na Mickiewicza. Przychodzili tam ludzie starsi, asy ślusarskiego zawodu w naszym mieście. Niektórzy mieli dzieci w moim wieku. Sekretarzem związku był jakiś starszy pan. Był działaczem, funkcjonariuszem. Zajmował się naszymi sprawami, wypytywał o warunki pracy itp. Sprawy nas, małoletnich szczególnie go interesowały. Wiele mówił o solidarności i walce o lepsze warunki. Była nawet mowa, że może dojść do strajku w naszej branży i że związek nas poprze. Kiedy opowiadałem w domu o tym, mama się wystraszyła i kategorycznie mi nakazywał ażebym się nie dawał namówić na żadne strajkowanie, bo mnie gospodarz wyrzuci na zbitą twarz. Do strajku nie doszło i wszystko zostało po staremu.

Rano, gdy wstawałem do pracy, szczególnie w zimie, było jeszcze ciemno. Nie przypominam sobie żeby coś zjadał przed wyjściem. Raczej nie. Ze sobą mama mi dawała a kawiarkę (dzbanek) kawy słodzonej sacharyną i dwie pajdy chleba, czasem posmarowane marmoladą a czasem i nie. Drałować było daleko, przez Rynek i całą Borystawską. Po drodze spotykało się ludzi śpieszących do pracy w Galicji. Wielu z nich dojeżdżało na rowerach. W zimowej porze ze szczytu ulicy Borystawskiej widoczne były światełka szybów wiertniczych

w Borystawiu. Zegarków nie mieliśmy i orientowaliśmy się według zegara ratuszowego widocznego z bardzo daleka. Jakiś czas pracował u nas borystawski czeladnik. Dojeżdżał do stacji Drohobycz-Rafinerie, a stamtąd do naszego warsztatu było bardzo blisko. O godzinach w ciągu dnia orientowaliśmy się według przejeżdżających pociągów; warsztat był prawie że przy samych torach kolejowych.

W tym czasie należałem jeszcze do Szomru. Lokal był przy ulicy Sobieskiego, niedaleko Domu Sierot. Chodziłem tam codziennie. Czas spędzaliśmy przyjemnie i pożytecznie. Prowadzone były pogadanki, śpiewano smętne, hebrajskie piosenki, zbiorowo tańczono horę.

W tym mniej więcej czasie nastąpił rozłam w Hanoarze, drugiej młodzieżowej organizacji syjonistycznej, o czym już wcześniej wspominałem. Dużo młodzieży studenckiej przeszło do Szomru. Dla nich zorganizowano dwie oddzielne kwuce-grupy studenckie, dla chłopców i dziewcząt. Nasza kwuca nazywała się Dror; kierownikami naszymi byli kolejno bracia G. Bardzo fajni i inteligentni młodzi ludzie, z bogatego domu. Obaj zdążyli jeszcze przed wojną wyjechać do Palestyny, w pierw ten starszy, a za nim ten młodzsy. Nasza kwuca postanowiła mieć swój własny sztandar. Zaczęliśmy zbierać na ten cel pieniądze różnymi środkami i w końcu osiągnęliśmy go. Mieliśmy swój własny sztandar z którego byliśmy dumni.

W ramach organizacji Majer, Lonek, Chemciu i ja - stanowiliśmy zwartą i nirozłączną kompanię. Bywaliśmy u siebie bardzo często. Warunki materialne w naszych rodzinach były nieco odmienne. U Majera, ojciec malarz pokojowy nie zawsze miał pracę. U Lonka sytuacja materialna była raczej stabilna, ojciec pracował w Galicji, a to już było bardzo dużo. U Chemcia ojciec z matką utrzymywali coś w rodzaju mikrostraganu na Małym Rynku; sprzedawali ś ledzie z beczi, czasem w całości, a czasem po kawałku (tak, tak po kawałku); może jeszcze coś, ale nie pamiętam co; może owoce? U mnie sytuacja była chyba najlichsza. Część ciowo już o tym wspominałem; trochę jednak powrócę do tego. Mój ojciec nie pracował; stracił pracę kiedy "propynacja" została zlikwidowana, a mamę akuszerkę do porodów wzywano coraz rzadziej. Do mojej mamy często przychodziły chłopki ze wsi które zaszły w ciążę prosząc o jakiś środek do jej spędzenia. Mama miała już z góry przygotowany wywar z jakichś strączków i to miało dawać pożądany skutek, wywołując "sraczkę" o niebywałym nasileniu podobnym prawie, że do skrętu kiszek. Czasami to pomagało, a czasami nie. Jeżeli pomagało, to chłopki wracały, przynosząc masło, jajka, czasem kurę w dowód wdzięczności. A jeżeli nie? To nie. Więcej nie przychodziły.

Mama Majera pomagała jego ojcu tym, że na kilka tygodni przed świętem żydowskiej Paschy najmowała się do ugniatania ciasta na macę. Stąd nazywano ją "Ryfcy dy knejtor". Nielekka to była praca. Z tej naszej czwórki, Majer jeszcze przed wojną zaczął pracować w warsztacie mechaniki precyzyjnej, właścicielami którego byli bracia Judko i Jumeck sownowaceni z rodziną Majera. W warsztacie tym montowano również rowery na zamówienie różnych sklepów z artykułami sportowymi. W tej branży Majer zrobił się specjalistą. Do ich warsztatu często zachodził młody wtedy chłopak, złota rączka, Matejko. Wszystko potrafił zrobić - od naprawy maszyn do pisania i liczenia (tzw. kręciołków), aparatów fotograficznych itp. Malował też reklamowe plakaty kinowe (od tego pochodzi przezwisko Matejko). Za wszystko się brał i wszystko mu wychodziło. O Chemciu i o sobie - naszym terminowaniu u Russa - już wspominałem. Lonek chyba nigdzie nie pracował.

Było w naszym mieście kilka zakładów fotograficznych. O jednym i właściwie jedynym w swoim rodzaju chciałbym wspomnieć. Nazywał się Schenkelbach, z krótką, przyszyroną bródką. Nazwa fotograf do niego nie pasowała; on był fotografikiem, artystą w swoim fachu. Fotografował pejzaże i kobiety; tylko te najpiękniejsze. Miał gablotę na ulicy Mickiewicza przed którą spacerowicze zawsze się zatrzymywali. W zimie można go było zawsze spotkać na nartach na Górcie albo na Pastewniku. Pastewnik był to pagórkowaty teren u zbiegu ulic Borystawskiej i Górnej bramy nadający się do jazdy na nartach i saneczkowania. Na samym dole była sadzawka w zimie zamarzająca i służąca za ślizgawkę. Za korzystanie narciarze, saneczkarze i łyżwiarze musieli płacić. Kolektorem był niejaki Suś, tak go nazywano. Miał ostre

oko i zawsze potrafił wyłowić tych co się z opłatą ociągali. Na górze, nieco głębiej była drewniana cerkiewka grecko-katolicka; podobno zabytek architektury. Drugim miejscem dla ślizgawki był staw w parku miejskim przy ulicy Truskawieckiej. Odbywały się tam nawet zawody hokejowe. Latem staw służył do romantycznego łódkowania. Na tym terenie królował pan Cymberkiewicz. Dla nas, dzieci, był postrachem. Do czego ten park służył w letnie, ciepłe i bezdeszczowe noce, już wspominałem.

Każdego roku odbywały się pobory do wojska. Żydowska młodzież, na ogół, była niechętna służbie wojskowej i robiła co można i co nie można ażeby uniknąć powołania. Wojsko jako szkoła obywatelskiego wychowania, nie bardzo trafiało młodzieży do przekonania, a szczególnie młodzieży nie-polskiej tzn. Żydów i Ukraińców. Mimo to, widziało się bardzo dużo młodych ludzi paradujących w mundurach wojskowych. Zazwyczaj służbę odbywano w innym mieście. Przyjazdy na urlop były niezwykle przyjemnym ewenementem. W zielonych mundurach, czapkach rogatywkach z piórkiem i bagnetem u boku, czasem w butach z ostrogami i przy szabli, długiej i ciężkiej, w zależności od rodzaju wojsk w których się służyło - prezentowali się dosyć dziarsko. Żołnierze cieszyli się dużym wzięciem u dziewcząt wiejskich zatrudnionych w mieście jako służba fomowa. Czasami pozostawiali za sobą "pamiątki" w niezawsze przyjemnej postaci.

Jak opowiadano, reżim w przedwojennym wojsku był ostry i ciężki. "Władza" kaprała nad zwykłym żołnierzem bywała nieraz bardzo duża i trudna do zniesienia. Częste były wypadki szykanowania i znęcania się, co niekiedy doprowadzało do samobójstw u osobników mniej wytrzymałych. Przed wojną pisarz, Adolf Rudnici, wydał książkę ma ten temat zatytułowaną "Żołnierze" (czytałem ją po wojnie). Wywołała ona wielki szum i poruszenie. Podobno dotarła nawet do samego Marszałka Piłsudskiego. Powoływano różnego rodzaju komisje dla zbadania wysuniętych w książce zarzutów. Czym się to skończyło - nie pamiętam. O rzekomej a niekiedy i bardzo zbliżonej do prawdy "władzy" kaprali krążyła następująca anegdota: w czasie egzaminu w przedmiocie o ustroju i prawach obywatelskich, egzaminator zadał chłopakowi ze wsi pytanie: "kto jest Prezydentem Rzeczypospolitej Polski" - chłopak wyprężył się w postawie na baczność i mocnym głosem odpowiedział : "Pan Kapral". Znane było polskie powiedzonko: wojsko to nie uniwersytet, tu trzeba myśleć !

Rodziny mające synów w wojsku, od czasu do czasu posyłały im paczki żywnościowe, jeżeli było ich na to stać. Karmili w przedwojennym wojsku polskim jak w każdym innym wojsku wschodnioeuropejskim w owym czasie. Z głodu się nie umierało a paczki z domowymi przysmakami bardzo były cenione. W końcu, wojsko to nie dom wypoczynkowy albo sanatorium.

Sprawami religii i obrządków religijnych w wojsku zajmowali się kapelani i rabini wojskowi, każdy w swoim zakresie. Zdaje się, że nawet istniała taka instytucja jak rączelny Rabinat Wojskowy. Bezpośrednio po wojnie wiem, że ccoś takiego istniało; jak było później - nie wiem. Zresztą Żydów, prostych żołnierzy później chyba nie było, a jeżeli chodzi o oficerów Żydów to albo byli ateistami, albo też ukrywali swoją wiarę. W święta żydowskie przed wojną, żołnierzom Żydom zezwalano na pójście do synagogi. Czasami też, z tej okazji dawano im urlopy.

Wracając do sprawy tzw. "uników" od służby wojskowej. Polegało ono na zażywaniu różnych lekarstw, piciu mocnej kawy w dużych ilościach, nacierania oczu cebulą powodując nadmierne łzawienie, niespanie po nocach i jeszcze wiele innych niedozwolonych i szkodliwych trików. Czasami nawet uciekano się do trwałych samouszkodzeń cielesnych z dożywotniami